Poniedziałek, 8.06.2026 | Nr 46 (2557) | Cena **6,00 zł** (w tym 8% VAT) | Informacje z Kraju i ze Świata **www.i.pl** | NR ISSN 1898-3081 | NR INDEKSU 349-682

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

9 771898 308011 24

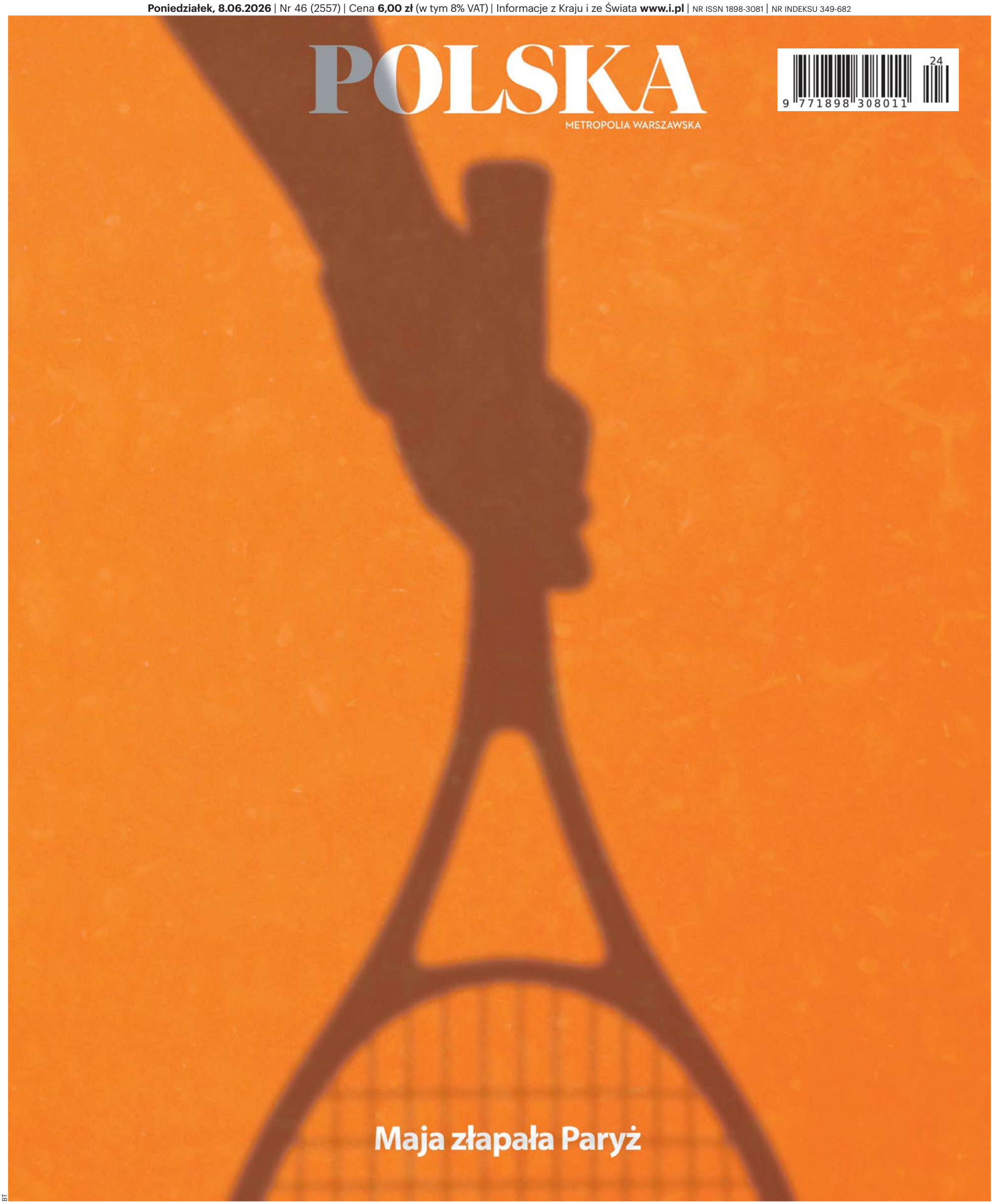

Maja złapała Paryż

BT

eprasa.pl ffca6fe78e

Polska
Poniedziałek, 8.06.2026

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek **magazyn Puls**

Mundial, mundial, mundial... Niestety tym razem bez udziału reprezentacji Polski. Ale piłkarskich emocji i wielkich meczów z pewnością nie zabraknie



Janusz Michalczyk
publicysta

PO CO PAPIEŻ DAŁ ENCYKLIKĘ?

Leon XIV podszedł do tematu sztucznej inteligencji bardziej jak matematyk, którym jest z wykształcenia, niż mógłby to uczynić teolog skupiony na relacji między człowiekiem i Bogiem. Taki wniosek nasuwa mi się po wysłuchaniu kilku komentarzy do najnowszej encykliki „Magnifica Humanitas" (wspaniałe człowieczeństwo). Zauważają oni zgodnie, że papież wykorzystał ocenę zmian technologicznych do przypomnienia całej nauki społecznej Kościoła, dlatego pojawiły się tu wątki tak nieoczywiste, jak niewolnictwo, wojna sprawiedliwa, migracje czy ruch związkowy, przy czym potraktowane dość zdawkowo, co może tworzyć wrażenie, że encyklika jest po trochu o wszystkich sprawach tego świata.

W zasadzie wszyscy komplementują Leona XIV za wyczerpującą analizę zagrożeń związanych z gwałtownym rozwojem AI, choć niektórzy uczciwie przyznają, że papież nie mówi nic, czego by nie powiedzieli przed nim wnikliwi eksperci (opinia karmelity Marcina Wojnickiego), a do krytykowania zarozumiałych miliarderów finansujących algorytmy lepiej przygotowani są lewicowi analitycy (opinia Jana Maciejewskiego).

Daje się też odczuć lekki zawód, że w encyklice jest tyle teologii, co kot napłakał. W dokumencie przywołano biblijny obraz stawiania wieży Babel oraz Nehemiasza prowadzącego wspólną odbudowę zburzonych murów Jerozolimy, pojawia się Chrystus i na sam koniec Maryja. Resztę można interpretować jako logiczny i precyzyjny wywód, z którego uniwersalną wymową chętnie zgodzi się nawet ateista o humanistycznym zacięciu. Encyklika „Rerum novarum" (nowe rzeczy) Leona XIII krytycznie opisywała w 1891 r. żarłoczny kapitalizm, zaś „Magnifica Humanitas" Leona XIV przestrzega w 2026 r. przed utopijnymi wizjami cyfrowej rzeczywistości. Jak jednak zauważył Paweł Chmielewski, nauka społeczna Kościoła nie ma żadnego wpływu na toczące się procesy cywilizacyjne. Od siebie dodam, że przestrogi papieża kojarzą mi się z nieustannymi modlitwami o pokój, których skuteczność każdy może ocenić włączając telewizor. Wspaniałe człowieczeństwo to wzniosła idea, lecz w ludzkiej duszy nieustannie panoszy się mrok.

”

Dzisiaj pokusa zdobywania popularności przez podsycanie ognia polaryzacji wydaje się raczej narastać niż słabnąć, a godność ludzka wciąż jest naruszana

Leon XIV podczas wizyty w Hiszpanii

ORZECZENIA W SZKOŁACH - TREND ŚWIATOWY



Liliana Sonik
publicystka

Zbieram się do tego tematu, jak pies do jeża. Splątane, ambiwalentne i pomieszane wątki przypominają toksyczny koktajl: finanse samorządów, kolejne ministerialne rozporządzenia, stan rodzicielskiej świadomości, dobre chęci i ich fatalne efekty. A w grze są nie tylko fundusze i prawo, lecz przede wszystkim emocje. Kilka miast poszło do sądu. Największe echo uzyskał Szczecin, który pozwał Skarb Państwa o zwrot ponad 111 mln zł różnicy pomiędzy otrzymaną subwencją oświatową a faktycznymi wydatkami na edukację. Sprawa jest stara i do tej pory nierozstrzygnięta, ale prezydent Szczecina mówi, że problem trwa, bo zmiana nazwy z 'subwencji oświatowej' na 'kwotę potrzeb oświatowych' niewiele zmieniła. Nie każde miasto, a tym bardziej wieś, może sobie pozwolić na sądzenie się z Ministerstwem Edukacji czy Skarbem Państwa.

Raport o stanie Gminy Miejskiej Kraków za 2024 pokazuje, że wydatki miasta na edukację w 2024 roku wyniosły 3,56 mld zł. To blisko 40% całego budżetu miasta. Z tej kwoty zaledwie 1,7 mld zł pochodzi z subwencji oświatowej, czyli z budżetu państwa. Pozostałe 1,75 mld zł to środki własne Krakowa, a dodatkowe 101 mln zł idą do przedszkoli. Raport za rok 2025 jeszcze nie jest dostępny, lecz wszystko wskazuje, że niekorzystne proporcje się pogłębiły. I tak jest wszędzie, w całej Polsce. Dzieci w gminach coraz mniej, wydatków coraz więcej.

Przyjmuje się, że koszt kształcenia jednego ucznia w szkole podstawowej to około 14 000 zł, a w szkołach ponadpodstawowych ponad 19 000 zł. W przypadku dzieci z orzeczeniem o potrzebie kształcenia specjalnego koszty te są znacznie wyższe - nawet do 60 000 zł rocznie na jednego ucznia. Gminy nie uchylają się przed dopłacaniem do szkół. Tylko uginają się pod ciężarem rosnących wydatków i coraz to nowych celów i obowiązków. Najtrudniejsze sytuacje powstają, gdy dochodzi do synergii presji. Ministerstwo coś nakazuje, a rodzice egzekwują okno możliwości z rosnącą intensywnością. Rzadko kto odważa się podjąć temat ukrytych skutków dogmatycznie traktowanego hasła edukacji inkluzywnej (włączającej). Przecież w teorii idea jest szlachetna i nie do podważenia. Brzmi świetnie. Tylko fakty nie nadążają. Albo odwrotnie: fakty galopują, co obrazują cyfry. Spośród różnych rodzajów niepełnosprawności lawinowo rośnie liczba orzeczeń o potrzebie kształcenia specjalnego dla dzieci ze spektrum autyzmu. Od 2014 roku do 2022 w Polsce przybyło takich orzeczeń z 17 tys. do 82 tys. Między 2014 a 2020 ta liczba co roku rosła o 5-8 tysięcy, ale już między 2021 a 2022 - aż o 16 tys. Dzieci z takim orzeczeniem - a jest ich ponad 126 tysięcy - muszą mieć nauczyciela wspomagającego, o co mają zadbać samorządy. Mamy obowiązek poznać przyczyny galopującego wzrostu liczby orzeczeń. Wielu doświadczonych nauczycieli uważa, że 'medykalizujemy' problem. Innymi słowy, że poza przypadkami wymagającymi pomocy lekarskiej ubieramy w medyczne diagnozy problemy społeczne i deficyty wychowawcze. Bo nie chodzi tylko o efekt smartfona.

Kwestie te stanowią niemal tabu. Tymczasem potrzebne są pogłębione analizy zjawiska, które nie dotyczy tylko Polski. W Stanach Zjednoczonych rośnie liczba studentów zgłaszających niepełnosprawność. Zwłaszcza w elitarnych uczelniach, jak Harvard czy Cornell. W 2024 zarejestrowało się jako osoby z niepełnosprawnościami aż 21 procent studentów. 10 lat temu było ich 3 procent.

NOWE NIERUCHOMOŚCI. TO POCZĄTEK



Tadeusz Płatek
publicysta

W komunie sprawa była prosta. Gdzie mieszkasz? W kamienicy - jesteś biedny, w bloku - troszkę bogatszy, w domku jednorodzinnym - bogaty tak, że masz nawet auto i jeździsz na wakacje. Były jeszcze szeregówki, których tradycja w Polsce jest długa i ważna, wręcz głęboko przedwojenna. Życie, w każdym razie, odbywało się w mieszkaniach lub w domach jedno- czy wielorodzinnych.

Dzisiaj już nie ma mieszkań. Doprowadzili do tego agenci i fliperzy nieruchomości. Ludzie, którzy powinny gotować się w gorącym oleju, żeby potem łatwiej obdzierało się ich ze skóry w piekle. No, przynajmniej tak o nich myślą osoby o poglądach skrajnie lewicowych, dla których mieszkanie jest prawem a nie przywilejem.

Żebym nie wiem jakie poglądy polityczne reprezentował, a one z upływem lat się zmieniały, to wychowałem się w kamienicy i tym jestem na całe życie skażony. Wyzyskiwacz zawsze we mnie będzie, a słowo „apartament", które teraz powszednieje, nigdy nie przejdzie mi przez gardło. Chyba że we Francji lub w hotelu. Swoją drogą ci, którzy na fasolkę po bretońsku mówią cassoulet, „apartamentami" się nie chwalą, marząc o wielkich, wolnostojących budowlach, które nazywają... Teraz dotarło do mnie, że fantazja deweloperów polskich nie zna granic. I skoro tyle już zmienili w sercach naszych i umysłach, to niewykluczone, że pewnego dnia - tak jak zniknęły mieszkania - znikną także domy. A w ich miejsce na sprzedaż zostaną wystawione w stanie deweloperskim zamki i pałace.

Na sprzedaż będzie pałac o powierzchni 110 metrów kwadratowych. Zamek pod klucz wykończony. Twierdza z garażem podwójnym. Cytadela z werandą i sadem, bo ogród to za mało. Choć to się jeszcze nie stało, to są już znaki. Weźmy na przykład „willę". Trzy rodzaje były w starożytnym Rzymie, skąd ta nazwa zresztą pochodzi: willa wiejska (rustica), nadmorska (maritima) i miejska (urbana). Miały zwykle atrium (wewnętrzny dziedziniec z basenem) oraz okalający je ogród, dający wytchnienie w dniach upalnych. Potem, przez stulecia, aż do roku 2020 willami nazywano domy jednorodzinne z ogrodem, jako warunkiem koniecznym, oddzielającym od sąsiadów. To już jednak przeszłość. Dziś „wille miejskie" to szeregówki bez ogrodu, chyba, że trawiasty wybieg dla chomików tym mianem określimy. To, zapewniam, nie jest ostatnie słowo deweloperów. To preludium.

eprasa.pl ffca6fe78e

Wojciech Rogacin, Vatican News

Tłumy Hiszpanów na spotkaniach z papieżem

Leon XIV zgromadził na spotkaniu w stolicy Hiszpanii więcej młodzieży niż popularni artyści. 600 młodych ludzi przybyło na spotkanie z Leonem XIV w Madrycie. Wcześniej – po przylocie – Papieża na ulicach stolicy witało 150 tys. osób. Padły też ważne słowa: Wzywam wszystkich do porzucenia narracji dzielących i polaryzujących rzeczywistość społeczną oraz jej historię, aby przejść od jałowych uproszczeń do owocnego docenienia złożoności

Po przybyciu do pałacu królewskiego w Madrycie i powitaniu przez parę królewską Hiszpanii, Ojciec Święty spotkał się z władzami, korpusem dyplomatycznym i przedstawicielami społeczeństwa obywatelskiego.

– To nie kultura konfrontacji, lecz kultura spotkania rodzi stabilizację i dobrobyt – mówił papież.

Przywołał przykłady wielkich świętych tej ziemi: św. Jana od Krzyża i św. Teresę z Ávili, których mistyka – jak mówił – jest mistyką otwartych oczu, to znaczy nie ucieka od historii, lecz prowadzi do korzeni problemów i do samego serca rzeczywistości.

– Dzisiaj pokusa zdobywania popularności przez podsycanie ognia polaryzacji wydaje się raczej narastać niż słabnąć, a godność ludzka wciąż jest naruszana. Dlatego potrzebujemy kultury, życia wewnętrznego, wolnej i rzetelnej edukacji, potrzebujemy transcendencji – mówił Ojciec Święty.

Porzućcie to, co dzieli

Leon XIV wygłosił mocny apel do władz i przedstawicieli społeczeństwa. „W imię umiłowania prawdy wzywam wszystkich do porzucenia narracji dzielących i polaryzujących waszą rzeczywistość społeczną oraz jej historię, aby przejść od jałowych uproszczeń do owocnego docenienia złożoności. Widzę w tym szczególne powołanie Europy, w której Hiszpania odgrywa pierwotną i fundamentalną rolę" – powiedział Ojciec Święty.

Dodał, że jest to dar, jaki Stary Kontynent może ofiarować światu.

Ojciec Święty wskazał, że nowe technologie stały się sztucznym środowiskiem, w którym nasze fundamentalne wybory wystawiane są na próbę. W tym środowisku zaostrzają się



FOT. VATICAN NEWS

Leona XIV w Hiszpnii powitała rodzina królewska: Filip VI i Letycja

uprzedzenia – ostrzegł Papież – a myślenie krytyczne słabnie. Dobro może się jednak przeciwstawić temu zjawisku.

Papież przytoczył swoje wezwanie z encykliki Magnifica humanitas: „Unikajmy słów, które upokarzają albo przeciwstawiają jednych drugim. Wybierajmy jasność, która oświeca, a także szczerość, która otwiera drogi. Nie ulegajmy naiwnym uniesieniom i nie podsycajmy jałowych lęków".

Młodzi zachwyceni Papieżem

Ale kulminacją pierwszego dnia pobytu Leona XIV w Hiszpanii było sobotnie, wieczorne czuwanie z młodzieżą na Plaza de la Lima. Ogromne rzesze młodych ludzi, jak mówią organizatorzy - 600 tysięcy osób – zgromadziły się na rozmowie, czuwaniu modlitewnym z Papieżem i adoracji Najświętszego Sakramentu.

Nie tylko młodzi entuzjastycznie witają Leona XIV w Hiszpanii. Jak szacują organizatorzy, po przylocie w sobotnie przedpołudnie do Madrytu na ulice tego miasta wyszło około 150 tys. ludzi, aby powitać Ojca Świętego.

Wcześniej dziennikarze pytali, komu kibicuje Leon XIV? – To proste. Papież jest za wszystkimi klubami, Prevost za Realem Madryt – zażartował jeszcze na pokładzie samolotu.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORANGE

0211532323

Orange zwiększa dostępność najszybszego światłowodu! Już 112 miast w zasięgu, także w naszym województwie

Orange Polska dalej przyspiesza rozwój swojej sieci i udostępnia ultraszybki Orange Światłowód o prędkości do 8 Gb/s kolejnym użytkownikom. Od dziś z tej opcji mogą korzystać mieszkańcy 62 nowych miast. W praktyce to aż 3,1 mln gospodarstw domowych i firm w zasięgu. A na start dostawca oferuje najwyższą prędkość za 0 zł przez pierwsze 12 miesięcy. To kolejny etap rozbudowy infrastruktury światłowodowej, dzięki której szybki internet staje się dostępny dla coraz większej liczby użytkowników w całej Polsce.

Internet o prędkości 8 Gb/s w naszym województwie jest już w m.in. Warszawie, Radomiu i Siedlcach. Teraz pojawił się także w m.in. Płocku, Pruszkowie, Piasecznie, Legionowie, Milanówku, Ciechanowie, Mińsku Mazowieckim, Ząbkach, Otwocku, Pułtusku, Markach, Sochaczewie, Grodzisku Mazowieckim, Wołominie, Mławie oraz Nowym Dworze Mazowieckim. Dostęp do usługi łącznie obejmuje już 112 lokalizacji w całym kraju! To jednak nie koniec, bo operator zapowiada dalszą rozbudowę sieci i zwiększanie dostępności usługi w kolejnych miejscowościach, odpowiadając tym samym na rosnące potrzeby użytkowników. Na stronie operatora można sprawdzić czy nasz adres jest w zasięgu.

Ultraprędkość dla każdego

Ultraszybki Orange Światłowód to rozwiązanie dla tych, którzy nie uznają kompromisów – zarówno w pracy, jak i rozrywce. Sprawdzi się u osób pracujących zdalnie, twórców treści, fanów streamingu, graczy i entuzjastów e-sportu. Bez problemu poradzi sobie też z technologiami VR i AR w najwyższej jakości. Z kolei dla firm to gwarancja stabilnego i wydajnego łącza, niezbędnego w codziennym funkcjonowaniu. Duża przepustowość łącza pozwala na komfortowe korzystanie z wielu urządzeń jednocześnie bez utraty jakości połączenia. To istotne szczególnie w domach i biurach, gdzie z internetu korzysta równocześnie wiele osób.



Rok korzystania bez opłat

Nowi klienci indywidualni i biznesowi, którzy zdecydują się na Orange Światłowód 8 Gb/s, mogą skorzystać z promocji, w ramach której przez pierwszy rok korzystania z usługi nie zapłacą za abonament. Oferta obejmuje różne konfiguracje: sam światłowód, pakiet ze Światłowodem i Extra TV, opcję z abonamentem komórkowym oraz pełne pakiety łączące wszystkie usługi. Dla firm przygotowano dodatkowo m.in. wsparcie IT, stały adres IP czy usługi backupu danych. To dobra okazja, by przetestować możliwości ultraszybkiego internetu i jednocześnie skorzystać z dodatkowych usług na korzystnych warunkach. Promocja pozwala zapoznać się z pełnymi możliwościami usługi bez ponoszenia kosztów abonamentowych przez pierwsze 12 miesięcy. Dzięki temu użytkownicy mogą sprawdzić, jak światłowód sprawdza się w codziennym użytkowaniu zarówno w domu, jak i w firmie.

Wi-Fi 7 dla jeszcze lepszej wydajności sieci

Orange zachęca także do rozszerzenia domowej lub biurowej sieci o wzmacniacz Wi-Fi 7. W połączeniu z szybkim światłowodem zapewnia on jeszcze lepszą wydajność, większą stabilność i sprawniejsze działanie sieci, nawet przy dużym obciążeniu i wielu urządzeniach jednocześnie. Wzmacniacz Smartbox Wi-Fi 7 można wypożyczyć za 4,99 zł miesięcznie. Jest dostępny na każdym etapie trwania umowy i we wszystkich kanałach sprzedaży.
Co ważne, można korzystać nawet z trzech takich urządzeń w ramach jednego światłowodu (każde rozliczane osobno), co pozwala zapewnić stabilny internet w całym domu lub biurze. Rozwiązanie to szczególnie dobrze sprawdza się w dużych mieszkaniach i domach, gdzie sygnał Wi-Fi musi pokonać większe odległości i przeszkody. Dzięki temu użytkownicy mogą cieszyć się stabilnym i szybkim połączeniem w każdym pomieszczeniu!

eprasa.pl ffca6fe78e

Polska
Poniedziałek, 8.06.2026

KYRYŁO BUDANOW I JEGO TAJEMNICZA MISJA

W poniedziałek, 8 czerwca, zbierze się Kapituła Orderu Orła Białego, jednym z dyskutowanych punktów ma być kwestia odebrania tego odznaczenia prezydentowi Zełenskiemu. Wcześniej, w Polsce pojawił się Kyryło Budanow, szef biura prezydenta Ukrainy, nieformalnie druga osoba w państwie

Dorota Kowalska



FOT. KPRP

Wizyta Kyryło Budanowa w Polsce jest owiana nimbem tajemnicy. Nie do końca wiadomo, jakie są jej konkluzje i czy cokolwiek ustalono

Wygląda na to, że strona ukraińska postanowiła załagodzić trochę sytuację, bo ta na linii Polska-Ukraina jest ostatnio napięta. Wszystko za sprawą decyzji prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek zbrojnych Ukrainy imię „Bohaterów UPA".

W każdym razie w Polsce pojawił się Kyryło Budanow, szef kancelarii prezydenta Ukrainy, jak mówią „nieformalnie druga osoba w państwie". Budanow spotkał się w Warszawie z wicepremierem, szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego Bartoszem Grodeckim, wiceszefem MSZ Marcinem Bosackim, oraz szefem prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcinem Przydaczem.

Ten ostatni stwierdził, że jego sobotnia rozmowa z Budanowem dotyczyła spraw dwustronnych, w tym przede wszystkim tematyki historycznej i problemów wynikających z ostatnich decyzji ukraińskich.

- Przedstawiałem stronie ukraińskiej w odpowiedniej formie polskie stanowisko w tej sprawie. Próba gloryfikacji zbrodniarzy spod znaku UPA spotyka się i będzie spotykać się z twardą reakcją - powiedział minister Przydacz. - Strona ukraińska wskazała, że ma świadomość reakcji, jakie ta tematyka wywołuje w Polsce, i zainteresowana jest dialogiem w sprawie. Zadeklarowałem gotowość do dalszych rozmów i wskazałem na oczekiwania po stronie polskiej, aby taki dialog mógł przynieść pozytywny skutek - dodał prezydencki minister.

Ponoć podczas rozmowy nie padły jednak żadne konkrety.

Wcześniej Kyryło Budanow rozmawiał z wicepremierem Kosiniakiem-Kamyszem, ten, już po spotkaniu podkreślił, że Polska i Ukraina w sprawach bezpieczeństwa są partnerami, jednak „w sprawach historii musimy mówić sobie prawdę, bo tylko tak jesteśmy w stanie budować przyszłość".

W swoim wpisie na portalu X Kosiniak-Kamysz podał, że podczas rozmów jasno przedstawił polskie oczekiwania dotyczące decyzji o nazwaniu jednej z jednostek wojskowych im. UPA.

„Pamięć o ofiarach Wołynia nie podlega negocjacjom. Są granice, których przekraczać nie wolno" - zaznaczył szef MON.

Wcześniej, Władysław Kosiniak-Kamysz zaapelował do władz Ukrainy o ponowne rozważenie decyzji o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek wojskowych imienia bohaterów UPA. W wystąpieniu przesłanym ukraińskim mediom zaznaczył, że państwowa gloryfikacja UPA jest dla Polaków „nie do przyjęcia". Szef MON przyznał, że dla części Ukraińców formacja ta może być symbolem walki z sowieckim zniewoleniem, jednak dla Polaków pozostaje przede wszystkim symbolem zbrodni popełnionych na ludności cywilnej podczas rzezi wołyńskiej.

Z Budanowem rozmawiał także szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Bartosz Grodecki. Spotkanie odbyło się na prośbę strony ukraińskiej, Grodecki zakomunikował, że przedstawił stanowisko prezydenta Nawrockiego w wiadomej sprawie oraz oczekiwania wobec strony ukraińskiej.

Szef kancelarii prezydenta Ukrainy spotkał się również z wiceministrem spraw zagranicznych Marcinem Bosackim i ministrem koordynatorem służb specjalnych Tomaszem Siemoniakiem.

O wizytę szefa kancelarii prezydenta Ukrainy Kyryła Budanowa w Warszawie dziennikarze zapytali także premiera Donalda Tuska, który w piątek po południu wrócił ze szczytu UE-Bałkany Zachodnie w Czarnogórze.

Tusk podkreślił, że cechą głównych nurtów polskiej polityki - niezależnie od gorących sporów politycznych - jest niewymuszona jedność, jeśli chodzi o stosunek i do Ukrainy, i do Rosji w kontekście wojny rosyjsko-ukraińskiej.

- Tu nic na pewno się nie zmieni, i niech nikt nie próbuje podzielić rządu, prezydenta, kogokolwiek, jeśli chodzi o naszą ocenę tego, co wydarzyło się ostatnio w Kijowie. Z całą pewnością (...) będziemy też wspólnie z panem prezydentem i wszystkimi poważnymi siłami politycznymi w Polsce pielęgnowali jedność, jeśli chodzi o kwestię rosyjską i kwestię ukraińską - oświadczył Tusk.

Przyznał też, że sugerował stronie ukraińskiej, żeby poważnie potraktowała „ten ewidentny kryzys zaufania, jeśli chodzi o przynajmniej emocje historyczne". Wskazał, że rolą obu elit politycznych - zarówno ukraińskiej, jak i polskiej - jest dbanie o „wzajemną wrażliwość".

- Zasugerowałem stronie ukraińskiej, żeby poszukała jakiegoś rozwiązania. Sama doprowadziła do tego problemu, niech szuka rozwiązania - podkreślił Tusk.

I przypomniał, że Polska i Ukraina będą wspólnie organizować w czerwcu w Gdańsku konferencję poświęconą powojennej odbudowie Ukrainy.

- To są poważne biznesy: i polskie, i europejskie, i ukraińskie - mówił. - Ale to jest w interesie Ukrainy, żeby to się odbyło, i żeby odbyło się w takiej dobrej atmosferze - dodał Tusk.

Szef rządu podkreślił, że nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że w tej chwili cała odpowiedzialność za zaleczenie „niepotrzebnego zupełnie (...) konfliktu interpretacji historycznej" jest po stronie ukraińskiej.

- Ja rozumiem absolutnie, każdy ma swoją narodową wrażliwość i rozumiem, że Ukraińcy będą czcić pamięć tych, którzy walczyli z sowieckim najeźdźcą, ale nie zrozumiałbym, gdyby chcieli równocześnie czcić pamięć tych, którzy mordowali Polaków - najbliższych sojuszników było nie było - mówił premier.

Wyraził nadzieję, że te argumenty „w końcu dotrą do Kijowa".

- Jeśli nie, to będzie oznaczało, że nie empatia, tylko twardy biznes będzie decydował o naszych relacjach - zaznaczył Tusk.

Przypomnijmy jednak początek tej politycznej burzy. Prezydent Zełenski swoją decyzję o nadaniu jednej z jednostek zbrojnych Ukrainy imię „Bohaterów UPA" tłumaczył tym, że zrobił to „w celu przywrócenia historycznych tradycji narodowego wojska oraz uwzględniając wzorowe wykonywanie powierzonych zadań podczas obrony integralności terytorialnej i niepodległości Ukrainy".

Tyle tylko, że w Polsce Ukraińska Powstańcza Armia kojarzy się głównie z eksterminacją ludności polskiej na Wołyniu. Właśnie tam w latach 1943-1944 doszło do masowych mordów na Polaków, dokonanych głównie przez oddziały UPA oraz wspierające je grupy. Chodziło o usunięcie Polaków z terenów, które ukraińscy nacjonaliści uważali za przyszłe państwo ukraińskie.

Nie ma się zatem co dziwić błyskawicznej reakcji strony polskiej. Premier Donald Tusk ocenił decyzję Zełenskiego jako niepokojącą z punktu widzenia relacji między Polską i Ukrainą, ale dodał, że rząd zareagował już w sprawie decyzji prezydenta Zełenskiego.

- My wiemy naprawdę jak prowadzić tę politykę w tym najtrudniejszym czasie, pełnym wyzwań - stwierdził. W podobnym tonie wypowiadali się inni członkowie rządu, szef MSZ Radosław Sikorski pisał chociażby o „rozczarowaniu tym, że prezydent Zełenski nie uwzględnił polskiej wrażliwości historycznej i nadał ukraińskiej jednostce imię „Bohaterów UPA", Sikorski zauważył też, że na polsko-ukraińskiej kłótni o przeszłość zyska wyłącznie Władimir Putin. Politycy koalicją 15 października krytykowali decyzję Kijowa, zaznaczali jednak, że reakcję należy pozostawić resortowi dyplomacji i nie podejmować kroków, które przyniosłyby satysfakcję stronie rosyjskiej, dążącej do poróżnienia Polski z Ukrainą.

Tymczasem politycy opozycji i Karol Nawrocki zareagowali bardzo gwałtownie. Prezydent oświadczył, że jest oburzony decyzją Zełenskiego i dodał, że Zełenski dostarczył „najlepszego materiału i wiele tlenu rosyjskiej propagandzie".

- Gloryfikowanie UPA jest rzeczą, która dostarczyła rosyjskiej propagandzie wiele tlenu do dezinformacji - powiedział Nawrocki. Nawiązał też do propozycji posła Konfederacji Grzegorza Płaczka, by po tej decyzji odebrać Zełenskiemu jeden z polskich orderów.

- 8 czerwca odbędzie się posiedzenie Kapituły Orderu Orła Białego i ja zaproponowałem, aby jednym z punktów było odebranie prezydentowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego - oświadczył prezydent. Dodał, że ostateczna decyzja należy do niego, ale kapituła musi się zebrać.

Deklaracji prezydenta Nawrockiego przyklasnęli posłowie PiS i Konfederacji.

Order Orła Białego przyznał Wołodymyrowi Zełenskiemu w 2023 roku ówczesny prezydent Andrzej Duda. To najwyższe polskie odznaczenie przyznawane od ponad trzystu lat, także w pierwszym okresie zaborów. „Widzimy gwałtowną reakcję w Polsce na decyzję o nadaniu jednemu z ukraińskich pododdziałów nazwy upamiętniającej bohaterów UPA. Jest to przykre, ponieważ dzieje się wbrew szerszemu trendowi rozwiązywania problematycznych kwestii w relacjach ukraińsko-polskich, który obserwowaliśmy przez ostatnie półtora roku" - napisał w odpowiedzi na pytania polskich dziennikarzy rzecznik MSZ w Kijowie Heorhij Tychyj.

Prof. Antoni Dudek, historyk i politolog, stwierdził, że decyzja Zełenskiego o nadaniu imienia „Bohaterów UPA" jednej z jednostek wojskowych jest „fatalna", Polska powinna zaprotestować, jednak nie poprzez odbieranie prezydentowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego.

- Patrzymy na UPA niemal wyłącznie przez pryzmat ludobójstwa na Wołyniu i trudno się dziwić, że tak właśnie jest - stwierdził prof. Dudek. - Tylko powinniśmy przez moment się zastanowić, czym jest UPA dla Ukraińców. Otóż dla nich jest to przede wszystkim formacja, która przeciwstawiła się bolszewikom i Sowietom. Dla nich ta tradycja jest dzisiaj najważniejsza, bo oni nie toczą wojny z Polską, tylko z Rosją. Dlatego odwołują się do tych formacji ze swojej przeszłości, które walczyły z Rosjanami czy bolszewikami. Trudno odmówić tej decyzji racjonalności - powiedział.

O tę kwestię pytano również Donalda Tuska po jego powrocie z Czarnogóry.

Premier stwierdził, że uważa reakcję prezydenta Nawrockiego za zupełnie zrozumiałą.

- Ja być może inaczej bym zareagował, ale nikt - i mówię to także do ukraińskich przyjaciół - nikt nie podzieli polskiej opinii publicznej ani polskich władz, jeśli chodzi o kwestię wojny rosyjsko-ukraińskiej, ale także jeśli chodzi o historię, o przeszłość - zaznaczył premier.

Bez wątpienia, najlepszym rozwiązaniem jest załagodzenie tego zgrzytu w relacjach polsko-ukraińskiej na drodze dyplomatycznej, bo jak słusznie zauważył Radosław Sikorski, najbardziej na poróżnieniu Polski z Ukrainą zależy Kremlowi.

PAP

eprasa.pl ffca6fe78e

Kreml wmówi Rosjanom, że wygrał wojnę w Ukrainie?

Wojna nie układa się po myśli Kremla, nic więc dziwnego, że putinowska propaganda szykuje już grunt pod wmówienie Rosjanom, że zamrożenie konfliktu na obecnej linii frontu będzie zwycięstwem

Grzegorz Kuczyński



FOT. FOT. FB/SZTAB GENERALNY SZ UKRAINY

W ostatnich miesiącach armia ukraińska coraz skuteczniej radzi sobie z Rosjanami

Brak sukcesów na froncie, rosnące straty i coraz skuteczniejsze naloty ukraińskich dronów wywołują niepokój wśród rosyjskich władz, a niektórzy wysocy rangą urzędnicy Kremla uważają, że konflikt znalazł się w impasie. Wydaje się, że reżim powoli zaczynać się szykować na wariant awaryjny, czyli zakończenie działań wojennych bez osiągnięcia zakładanych wciąż oficjalnie celów kampanii.

W Rosji, zarówno w tabloidach, jak i w eksperckich publikacjach, pojawiły się ostatnio artykuły, w których sugeruje się, że obecny impas w „operacji specjalnej" można już uznać za zwycięstwo w wojnie z Ukrainą. I że nawet porażka i tak obróci się dla Rosji na dobre.

Ostatnie głośne groźby - zarówno agresywna retoryka wzywająca zachodnie ambasady do opuszczenia Kijowa, jak i coraz bardziej masowe i brutalne ataki rakietowe i dronowe na ukraińskie miasta - mogą być próbą skłonienia Waszyngtonu i Kijowa do powrotu do negocjacji, pisze „The Washington Post", powołując się na europejskich urzędników i analityków.

Czy Zachód wpadnie w pułapkę Putina?

Eskalacja retoryki i ataków dalekiego zasięgu, ale nie na polu bitwy - jest konsekwencją rosnących trudności, z jakimi boryka się Rosja na froncie wojennym i gospodarczym; może to świadczyć o próbie wznowienia rozmów pokojowych w celu osiągnięcia porozumienia na warunkach Moskwy - poinformowali „Washington Post" pod warunkiem zachowania anonimowości europejscy urzędnicy.

O tym samym napisał na X sekretarz generalny Ministerstwa Spraw Zagranicznych Estonii Jonatan Vseviov: „Teraz, gdy znika złudzenie, że czas jest po stronie Putina i że prędzej czy później Zachód zaproponuje przy stole negocjacyjnym to, czego Moskwa nie zdołała osiągnąć na polu bitwy, Kreml nasila napięcie... próbując po raz ostatni zwabić Zachód w pułapkę negocjacyjną".

Jak ludzie Kremla zmieniają narrację?

Eksperci bliscy Kremlowi zaczęli przekonywać opinię publiczną, że zatrzymanie wojny na obecnej linii styku bojowego można już uznać za zwycięstwo. Takie przesłanie niesie np. artykuł w prestiżowym czasopiśmie „Rosja w polityce globalnej". W skład rady redakcyjnej wchodzą między innymi minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow oraz doradca Putina Jurij Uszakow.

Artykuł o podobnym przesłaniu ukazał się niedawno w „Moskowskim Komsomolcu" (choć wkrótce potem został usunięty). Twierdzono w nim, że to właśnie „przegrane wojny i upokarzające rozejmy regularnie prowadziły do nowych przełomów, reform i, jakkolwiek to zaskakujące, do nowych zwycięstw". Jako przykłady podano w szczególności stosunki ze Złotą Ordą, porażki w wojnach krymskiej, rosyjsko-japońskiej i innych.

- Przewaga militarna Rosji zaczyna topnieć, Ukraina rozszerza zasięg i intensywność ataków, a Stany Zjednoczone wstrzymały negocjacje - mówi Tatiana Stanowaja, starszy pracownik naukowy berlińskiego Centrum Carnegie ds. Badań nad Rosją i Eurazją. - Wszystko to sprawia wrażenie, że sprawy nie układają się tak, jak chciałby tego Putin.

W tej sytuacji eskalacja jest, jej zdaniem, jedynym sposobem na zareagowanie na sytuację, której nie da się kontrolować. Moskwa może wykorzystać groźbę eskalacji konfliktu, aby skłonić USA do wznowienia rozmów pokojowych, w trakcie których, zgodnie z kalkulacją Kremla, administracja Donalda Trumpa wywrze presję na Wołodymyra Zełenskiego, żeby oddał Rosji resztę obwodu donieckiego. Mając pełną kontrolę nad Donbasem Putin mógłby przedstawić Rosjanom koniec wojny jako zwycięski dla Moskwy.

Rosyjskie elity czekają na kryzys władzy

Od kilku tygodni w zachodnich mediach dominuje teza, że reżim putinowski wszedł w okres wstrząsów. Poparcie dla władzy spadło do najniższego poziomu od początku wojny, elity nie rozumieją, jak będzie wyglądała przyszłość, a budżety regionalne pękają pod presją wydatków wojskowych. Podział nie przebiega wzdłuż linii „władza kontra opozycja" - w kraju nie ma już opozycji - ale wewnątrz samego systemu.

Na pytanie, czy władza stoi w obliczu upadku, rozmówca portalu Wiorstka, człowiek z okolic Kremla, z przekonaniem odpowiada „nie", bo to „nie pierwszy kryzys, jaki pamięta". - A także dlatego, że nie jest tak źle, jak piszą na Zachodzie. System się nie rozpada, tylko trochę się trzęsie. Ludzie w otoczeniu prezydenta - i nie ma żadnego alternatywnego centrum wpływów - zapewnia.

Szczególnie ludzi w rosyjskich elitach władzy miała rozbawić teza, że największym zagrożeniem dla Putina ma być Siergiej Szojgu. - Mówi się, że w jednej z „naszych" jednostek nawet dla żartu zaczęto szukać tuwińskich sabotażystów - mówi anonimowo oficer jednej ze służb specjalnych.

Strach przed upadkiem Putina

Inny urzędnik, bliski administracji prezydenta, jest wyraźnie zdenerwowany. Z rozmowy z nim wynika, że jeśli władza Putina upadnie, on i jego koledzy „nie mają przyszłości" i „wszyscy to rozumieją, choć nikt tego nie mówi". Przyznał nawet dziennikarzowi, że chciałby wysłać dziecko na studia za granicę, choć jeszcze nie zdecydował, gdzie dokładnie.

- To, że system nie ma przyszłości - jest oczywiste dla wszystkich i wszyscy o tym u nas dyskutują. Ale nikt nie wykracza poza stwierdzenie faktu. Nie wyrosła jeszcze odwaga - mówi Wiorstce pracownik średniego szczebla administracji prezydenta.

Rozmówca Wiorstki, zajmujący się agendą medialną Kremla, twierdzi, że obecnie dwie „najbardziej nerwowe grupy" to osoby odpowiedzialne za kontrolę nad polityką wewnętrzną oraz ci, którzy „zarabiają na wojnie". - Cokolwiek by nie mówiono na Telegramie, grupa pierwszego zastępcy szefa Administracji Prezydenta Siergieja Kirijenki jest dość silna. Wielu z nimi walczy, ponieważ panuje przekonanie, że osoby bliskie kręgom wewnętrznym będą organizować tranzyt władzy - mówi urzędnik.

Z grupą tych, którzy zarabiają na wojnie, „wszystko jest jasne": są to korporacje państwowe, wykonawcy z sektora zbrojeniowego, grupy budowlane i część mediów. Natomiast siłowicy są na fali. Istnieje napięcie między grupami Patruszewa i Zołotowa, armii i sił specjalnych, ale to tylko kosmetyczne potarcia. To nie jest bezpośredni rozłam.

Nikt nie tknie Putina?

Pod koniec kwietnia poziom poparcia dla działań Putina spadł do 65,6% – najniższego poziomu od początku pełnoskalowej wojny, poniżej wskaźników z okresu buntu Prigożyna i inwazji Sił Zbrojnych Ukrainy na obwód kurski. Przyczyn niepokojących Kreml nastrojów społecznych jest kilka: to nie tylko przedłużająca się wojna, ale także wzrost cen żywności, blokady internetowe i tak dalej. Zarówno elity, jak i społeczeństwo w Rosji czują się „niezbyt dobrze", ale trudno to powiedzieć o Putinie i jego najbliższym otoczeniu. - Z punktu widzenia ludzi z otoczenia Putina sytuacja nie jest zła. Tak, nie ma postępów, ale nie ma też porażki, wojna toczy się na terytorium Ukrainy. Putin pojechał do Chin, rozmawia z Trumpem, w Europie panuje niepewność - zauważa politolog Fiodor Kraszennikow. „Czy oczekujemy, że ktoś z najbliższego otoczenia Putina podejmie przeciwko niemu jakieś działania? Aby trafić do więzienia? Dopóki on żyje, nikt z jego otoczenia nie drgnie palcem. To emigranckie złudzenie, że ktoś tam to zrobi".

MATERIAŁ INFORMACYJNY AUDIORIVER 0011530131

20 lat festiwalu Audioriver, Łódź celebruje z gwiazdami muzyki elektronicznej

Audioriver obchodzi w tym roku swoje 20-lecie! To wielokrotnie nagradzany festiwal, uważany za jedno z najważniejszych wydarzeń w swojej kategorii w Europie Środkowo-Wschodniej. Z okazji jubileuszu łódzka impreza zaprosiła gwiazdy muzyki elektronicznej z najwyższej półki, dla każdego pokolenia wielbicieli.



W piątek 10 lipca wystąpi legenda kultury rave z lat 90., zespół The Prodigy, który wciąż słynie z energetycznych koncertów i zapowiada na ten rok nową muzykę. W sobotę 11 lipca scenę główną dzielić będą Disclosure, brytyjski duet odpowiedzialny za przeboje, które śpiewa m.in. Sam Smith, oraz berliński artysta Marlon Hoffstadt, który jest obecnie największą współczesną gwiazdą muzyki trance i jednym z najbardziej oczekiwanych artystów w Polsce przez pokolenie zetek.

Audioriver ma w tym roku propozycje dla fanów wszelkich odmian muzyki elektronicznej. Obok wielkich gwiazd, jak The Prodigy, Disclosure i Marlon Hoffstadt na głównej scenie pojawią się również Apashe w specjalnym projekcie z orkiestrą dętą, duet Parisi odpowiedzialny za produkcję artystów pokroju Fred Again czy Swedish House Mafia oraz Zhu, amerykański piosenkarz i DJ, autor wielkiego przeboju „Faded".

Do Łodzi przyjadą też legendy drum & bassu pokroju London Elektricity i Wilkinsona. Zagrają najważniejsi przedstawiciele nowoczesnego techno, jak Klangkuenstler czy I Hate Models. Nie zabraknie też klasycznych brzmień Berlina z klubów Berghain i Tresor. Zagrają Ben Klock, Len Faki i Chlär. Na miłośników lżejszych dźwięków czeka afro house grany przez Shimzę, melodic grany przez Dyzena i Mind Against czy house'owe wojaże Âme (live, w duecie z Trikkiem) i Damiana Lazarusa.

Audioriver 2026 odbędzie się w dniach 10-12 lipca na Łódzkich Błoniach. Karnety oraz bilety jednodniowe na festiwal znajdują się wciąż w sprzedaży. Więcej informacji na stronie audioriver.pl/bilety. Wydarzeniu towarzyszą też darmowe aktywności na OFF Piotrkowskiej.

eprasa.pl ffca6fe78e

Polska
Poniedziałek, 8.06.2026

FILIP KALINOWSKI: Warszawę tworzą migranci. Wnoszą do niej energię, bez której stolica nie byłaby sobą

„Szawarwa" to opowieść o Warszawie, której nie znajdziemy w folderach i oficjalnych opowieściach. – Dużo podróżowałem po świecie i nie znam drugiego takiego miasta – mówi dziennikarz i autor Filip Kalinowski. Oprowadza po stolicy, którą najlepiej widać przez pęknięcia

Anita Czupryn

„Szawarwa" nie jest klasyczną powieścią o Warszawie. Zszedł pan pod jej oficjalną powierzchnię. Jaka jest Warszawa oglądana nie z tej perspektywy, która opisywana jest w rankingach czy deweloperskich wizualizacjach, ale z tej widzianej nocą, z bazaru, czy podwórek? Kto w niej mieszka?
Moim zdaniem w Warszawie mieszkają... wszyscy. I to jest piękne, choć chwilami ma też swoje cienie. W tak dużym mieście - które oficjalnie ma dwa miliony mieszkańców, a po wydarzeniach ostatnich lat może i trzy - mieszkają naprawdę wszyscy. Do niedawna dynamika wielkich ośrodków miejskich polegała zwykle na tym, że grupy społecznie wykluczone mieszkały w konkretnych miejscach. Były takie dzielnice, osiedla, kwartały ulic. I choć dzisiaj wciąż w niektórych miejscach świata jest tak samo, to kiedy patrzę na Londyn, Nowy Jork czy Warszawę, widzę, że ludzie gorzej sytuowani i mierzący się z różnymi problemami społecznymi, często mieszkają na jednej ulicy z ludźmi, którym powodzi się świetnie. Albo ewentualnie ulicę obok. Zupełnie inna jest dynamika Francji, gdzie ludzie społecznie wykluczeni historycznie byli i do dzisiaj są wypychani na zewnątrz miasta, do tak zwanych banlieues, czyli blokowisk budowanych dla nisko opłacanych pracowników z byłych kolonii. A u nas to wszystko się miesza. Najbardziej intrygują mnie właśnie te miksy - rzeczy, które dzieją się pod powierzchnią. Fascynuje mnie gęsta kultura miejska, którą zajmuję się od lat od strony muzycznej, wizualnej czy modowej, od strony etosu i relacji w jaką wchodzi z miastem. „Szawarwy" nie należy jednak czytać jeden do jednego jako dzisiejszej Warszawy. Jest to nieco krzywe i ciemne zwierciadło, z którym przechadzam się po tym mieście. Wychowała mnie bowiem literatura i szeroko pojęta sztuka, która była w pewien sposób delikatnie przerysowana, transgresyjna i radykalna. Nie interesuje mnie naturalizm. Zajmuje mnie to, jak sztuka potrafi ubrać coś w formę oderwaną od rzeczywistości, a jednocześnie mówić o dojmująco realnych problemach i rozwiązaniach. To pewnie wpływ tego, że jako dzieciak czytałem bardzo dużo fantastyki i komiksów. Do dziś uważam Batmana za współczesny ekwiwalent szekspirowskiej czy wręcz antycznej tragedii, gdzie każdy z bohaterów jest wcieleniem jakiejś idei czy emocji - zemsty, szaleństwa czy pociągu seksualnego.

Tytuł książki, „Szawarwa" to Warszawa wypowiedziana inaczej. Wypowiedziana przez migrantów, przez ludzi spoza głównego nurtu. Naprawdę usłyszał pan nazwę własnego miasta w cudzym języku?
Nie, to jest zapożyczone. Jestem dzieckiem kultury hiphopowej i moją książkę można też czytać przez pryzmat rapu. W dużym stopniu wychował mnie francuski hip-hop. We francuskim slangu - który wziął się z gwary przestępczej, ale dzisiaj wszedł już do potocznego języka i nawet politykom zdarza się tak mówić - istnieje coś takiego jak verlan: mówienie na odwrót, z przestawionymi sylabami. Raper Rim.K to naprawdę Karim, zespół Mafia K'1 Fry, to Mafia Africain, itd. „Szawarwa" to więc Warszawa z przestawionymi sylabami. Dosłownie i symbolicznie.

Czy „Szawarwa" jest dla pana drugą Warszawą, ukrytą, a przez to prawdziwszą nazwą miasta, które zawsze było wielojęzyczne, mieszane i, jak pan pisze, nie do końca oswojone?
Dla mnie to w dużym stopniu moja Warszawa. Właśnie ta, o której pani wspomniała na początku – Warszawa, której często nie ma w głównym nurcie dyskursu medialnego, czy większości reprezentacji popkulturowych. Wydaje mi się, że Polska jest krajem, w którym „kultura wysoka" bardzo dystansuje się od „kultury niskiej" i na odwrót. Mam poczucie, że ludzie, którzy zajmują się sztuką przez duże „S", czyli teatrem, literaturą czy sztukami wizualnymi, rzadko sięgają po płytę rapową. A dla mnie rap zawsze był nośnikiem. Nie tylko bliską mi estetycznie formą ekspresji, ale też swego rodzaju wizjerem w drzwiach, przez który mogłem spojrzeć na kwestie mi dalsze bądź bliższe. Językiem, który w latach 90. - do których raz po raz zawraca moja książka - jako jedyny mówił o tym, co mnie otaczało. A wszędzie wokół widziałem wtedy tylko bloki - twardy i zimny wychów na jednym z warszawskich osiedli.

WYDAJE MI SIĘ, ŻE POLSKA JEST KRAJEM, W KTÓRYM „KULTURA WYSOKA" BARDZO DYSTANSUJE SIĘ OD „KULTURY NISKIEJ" I NA ODWRÓT

Na ośce.
Tak jest. W mojej poprzedniej książce - „Niechciani, nielubiani. Warszawski rap lat 90." dosyć drobiazgowo rozebrałem ówczesną Warszawę na czynniki pierwsze. Rozmawiałem z policjantami i terapeutami, wertowałem archiwa medialne i konfrontowałem moje anegdotyczne doświadczenie dorastania w tym mieście z faktami, statystykami i opiniami ludzi, którzy się tym zajmowali. I moim zdaniem tego miasta już nie ma. Nie zostało ono zrównane z ziemią, nie rozpadło się pod nawałem kul i bomb, tylko rozpłynęło w nieustannym procesie przebudowy, rozbudowy i rozwoju gospodarczego. To miasto już nie istnieje, acz pamięć po nim pobrzmiewa w mojej książce. Pojawia się też niekiedy w pęknięciach współczesnej Warszawy. Pęknięcia są w ogóle ciekawe.

Też lubię pęknięcia, bo uważam, że przez nie duchy się przeciskają do rzeczywistości. Która Warszawa, pana zdaniem, umarła: ta przedwojenna, powojenna, transformacyjna, podwórkowa?
Każda i żadna. Lubię myśleć o moim mieście jako o mieście wielu miast. Tak miałem od dzieciństwa. Dziadek zabierał mnie na Bazar Różyckiego, mama – na Targi Książki. Chodziłem po ulicach i widziałem różne Warszawy. Wychowałem się na przecięciu Ochoty i Włoch, na osiedlu Jadwisin, między Aleją Krakowską a Żwirki i Wigury. Stały tam bloki, a obok jeszcze domek, w którym ktoś miał konia i kury. W każdym z tych miejsc mieszkał ktoś inny, a w moim bloku drzwi w drzwi - żołnierz i złodziej, wykładowczyni uniwersytecka i odwieczna bezrobotna, Warszawiak od pokoleń i ktoś, kto przeprowadził się do tego miasta dwa tygodnie wcześniej. Dlatego też irytują mnie starzy warszawiacy pytający: „A ty skąd jesteś?". To zresztą pojawia się w książce, ten gest odbierania komuś prawa do mówienia, że jest warszawiakiem. Moim zdaniem każdy może się czuć warszawiakiem. Nawet jeśli spędził tu trzy dni. Tylko Warszawa jest takim miastem, które dużo daje, ale najpierw trzeba coś dać jej.

Usłyszałam kiedyś od jednego z polityków, że gdy przeprowadzał się z Krakowa do Warszawy, to Aleksander Kwaśniewski poradził mu aby polubił Warszawę, bo to miasto tyłem odwraca się do tych, którzy jej nie lubią. Zapamiętałam, bo ja też nie urodziłam się w Warszawie. Wychowałam się na Warmii, a jednak dziś mówię, że jestem też z Warszawy.
Podobnie jest z moją żoną. Ola jest z Wrocławia; swoją drogą jedynego miasta poza Warszawą, w którym mieszałem dłuższy okres czasu - trzy i pół roku. Pojechałem tam za Olą. A kiedy później przeprowadziliśmy się do Warszawy, zrozumiałem więcej różnych zależności, z którymi ludzie muszą się mierzyć w tym mieście. Ja się tu urodziłem, dorosłem, wrosłem w to miasto i ono wrosło we mnie. Z Warszawą bardzo mocno związana jest historia mojej rodziny. Mam tu swoje miejsca, swoich ludzi i swoje własne szlaki. A wtedy zrozumiałem coś, co lubię ubierać w formę metafory wynajmowanego mieszkania. Są bowiem ludzie, którzy w takim mieszkaniu nigdy nic nie naprawią, nie podmalują czy nie zmienią, bo to nie ich. I Warszawa jest dla mnie trochę takim miejscem: jeśli o nie w żaden sposób nie zadbasz - nie wejdziesz z nim w żadną głębszą relację, to ono już zawsze pozostanie obce. Trzeba tu wykonać pewną pracę - spróbować oswoić się z tym miastem czy wręcz oswoić to miasto. Dzisiaj jest to nieporównywalnie łatwiejsze niż dwie-trzy dekady temu, ale wciąż ma swoje wymogi. Warszawa jest przecież zupełnie zdecentralizowana, często chaotyczna i pełna kontrastów - od tych ekonomicznych po architektoniczne. Jednocześnie jednak jest zielona, bezpieczna i można ją czytać na dziesiątki sposobów. Dorastając tu na przełomie milleniów widziałem to miasto jako pożerającego swoje dzieci lewiatana. Dziś natomiast dzieją się tu - oczywiście - bardzo różne, często też tragiczne sceny (bo to wielkie miasto, w którym dzieje się wszystko), ale jestem głęboko przekonany, że to wszystko, co tu od dzieciaka przeżyłem było po coś. Krew to dobry nawóz.

eprasa.pl ffca6fe78e

Jak więc to jest być Warszawiakiem? W „Szawarwie" istnieje napięcie między tutejszymi, a ludźmi, którzy dopiero przyjechali. Kiedy, pana zdaniem, człowiek jest pełnoprawnym mieszkańcem Warszawy? Gdy się tu urodzi? Gdy płaci czynsz? Gdy płaci tu podatki? Czy może wtedy, kiedy 1 sierpnia o godzinie 17 staje na baczność?

Wydaje mi się, że człowiek staje się warszawiakiem wtedy, kiedy sam przed sobą potrafi szczerze powiedzieć: czuję się warszawiakiem, lubię to miasto albo wręcz je kocham. U jednego ten proces może zajść w tydzień, u innego nie zajdzie nigdy. Bardzo jestem wdzięczny ludziom, którzy płacą tu podatki, bo to jeden z elementów, dzięki którym Warszawa w ostatnich latach tak kwitnie. Ale to kwitnięcie ma też swoje minusy. Procesy gentryfikacyjne mają swoje ofiary, a wynajem krótkoterminowy pod Airbnb wysysa z miasta życie. Ja - na szczęście - wydeptałem tu sobie przez lata moje ścieżki i zawsze wiem, w którą bramę skręcić jak nie czuję się gdzieś komfortowo. I nie mi oceniać tych, którzy czują się tam znakomicie. Wydaje mi się, że ta książka i w ogóle moje dzisiejsze myślenie o świecie,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Filip Kalinowski: Każdy może być warszawiakiem. Nawet jeśli spędził tu tylko trzy dni

wyrasta z czegoś, co nazywam radykalną empatią. Czegoś, czego bardzo brakuje w dzisiejszym świecie. Ludzie szybko się oceniają, łatwo im przychodzi mówienie, jak by się sami zachowali w czyjejś sytuacji. Dlatego pewien radykalizm tej książki - postawy antysystemowe, czy wręcz paraprzestępcze, które się w niej pojawiają, to wszystko jest po coś. Trochę jak w filmach samurajskich, gangsterskich czy westernach. Sytuacje są tam bardziej ekstremalne, więc to, z czym mierzy się każdy człowiek, zostaje wzmocnione. Wszyscy przeżywamy miłość, zdradę, lojalność, radość, wściekłość. W „Szawarwie" te emocje i sytuacje, w których się pojawiają są czasami nieco większe.

I chyba większa jest też moja miłość do tego miasta i moje zastanowienie nad nim: nad historią mojej rodziny, także powstańczą, nad moim dorastaniem, wielokrotnie bardzo trudnym, nad późniejszym procesem terapeutycznym. Bardzo jest mi bliski relatywizm poznawczy i najprościej rozumiany humanizm - takie hasła jak podróżnych ugościć...

I właśnie migranci w pana książce nie są tłem, tylko częścią miejskiego krwiobiegu. Pisze pan o Wólce, Bakalarskiej, Marywilskiej, o bazarach, przewozach, nocnym życiu. Dlaczego tam zobaczył pan Warszawę najostrzej?

Wydaje mi się, że to jest największa zmiana, jaka nastąpiła od przełomu lat 90. i dwutysięcznych; zaraz obok urbanistycznej metamorfozy miasta. Nagle, w zupełnie inny sposób niż we Francji, Niemczech czy Skandynawii, zaczęły się u nas procesy, które dzieją się dziś na całym świecie. Dlatego tak mnie smuci, boli i wkurza przenoszenie narracji rodem z tych krajów do Polski. To szczucie strachem i mówienie: „za chwilę będziemy mieli tu przedmieścia Paryża". A to jest zupełnie inna dynamika. Francja ma setki lat krzywd na sumieniu i krew na rękach - wstrząsającą historię zarządzania swoimi koloniami i późniejszego ściągania ludzi z tych krajów jako taniej siły roboczej. Ci ludzie od razu byli marginalizowani, dosłownie wypychani poza miasto. I wraz z czasem tworzyli własne państwa w państwie. Mówienie, że u nas będzie dokładnie tak samo, jest krzywdzące i zakłamuje rzeczywistość. Świat jest bardziej skomplikowany. Niczego nie da się przełożyć jeden do jednego z któregoś konkretnego miejsca na inne. Jestem głęboko przekonany, że migranci - także ci z innych polskich miast, bo cała historia naszego kraju po II Wojnie Światowej, to przecież migracja ze wsi do miast, z mniejszych ośrodków do większych - zawsze wnosili do Warszawy ogrom kreatywności, pracowitości i entuzjazmu, prostej chęci robienia rzeczy. Oni tworzą to miasto. I - oczywiście - jak wszystko w życiu, ma to swoje cienie. Niektórzy wnoszą tu krzywdę, niektórzy mają swoje niecne interesy. Ale to jest kwestia... ludzi, bez względu na ich narodowość, wiarę czy pochodzenie. To jest kwestia edukacji,

dokończenie na str. 8

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJI ZIEMIA I LUDZIE

0011346483

PRAWDZIWE HISTORIE CZYSTEGO POWIETRZA

Program Czyste Powietrze pozwala zadbać o zdrowie bliskich

Czyste Powietrze Jest OK

Pan Krystian z Przemyśla jest zawodowym wojskowym, bierze udział w misjach pokojowych. Każdą przerwę w wyjazdach poświęca na pracę przy swoim domu jednorodzinnym. W czasie jednej z takich przerw sięgnął po dotację z programu Czyste Powietrze – z myślą o komforcie, ale przede wszystkim o bezpieczeństwie i zdrowiu swojej rodziny.

UWAGA, KONKURS!

Jesteś beneficjentem Czystego Powietrza? Podziel się z nami swoją prawdziwą historią i przekonaj innych do inwestycji w zdrowie i ciepło.

Wejdź na czystepowietrzejestok.pl

Co miesiąc do wygrania hulajnoga elektryczna!

– Decyzja, którą podjęliśmy z żoną w 2019 r., nie była przypadkowa – mówi nam. – Z roku na rok coraz bardziej dostrzegałem problem jakości powietrza, szczególnie w sezonie grzewczym. Chciałem nie tylko zadbać o zdrowie swoich bliskich, ale również mieć realny wpływ na środowisko, w którym żyjemy. Program Czyste Powietrze dał mi taką możliwość – wsparcie finansowe oraz jasne wskazówki, które pozwoliły mi przeprowadzić potrzebne inwestycje – wyjaśnia.



Rekuperacja – cenny dodatek

Pan Krystian wystąpił wówczas o dotację na piec gazowy z rekuperacją. W obecnej edycji programu nie można już dostać wsparcia finansowego na piec na gaz. Finansowanie może objąć piec na pellet, piec zgazowujący drewno i pompę ciepła. Warto jednak pomyśleć o wentylacji mechanicznej z odzyskiem ciepła, czyli rekuperacją. Taka wentylacja – o ile spełnimy odpowiednie warunki – może być finansowana z programu w istniejących domach.

Na czym to polega? Rekuperator to urządzenie, w którego sercu znajduje się wymiennik ciepła. Pobiera on energię cieplną z powietrza wywiewanego z domu i przekazuje ją do świeżego powietrza z zewnątrz. Dzięki temu zimne powietrze nawiewane do wnętrza jest już wstępnie podgrzane. Rekuperacja działa też latem, tylko odwrotnie. Powietrze wywiewane z domu jest chłodniejsze niż temperatura na zewnątrz. Wymiennik ciepła odbiera ten „chłód" i dzięki temu powietrze nawiewane do domu jest schładzane.

Pan Krystian swoją dotację z Czystego Powietrza przeznaczył też na ocieplenie domu oraz wymianę okien i drzwi na energooszczędne. – Dzięki udziałowi w programie udało się znacząco poprawić efektywność energetyczną mojego domu. Wymiana źródła ciepła oraz modernizacja instalacji przełożyły się nie tylko na mniejsze zużycie energii, ale również na niższe rachunki. Co jednak najważniejsze – odczuwalna jest poprawa jakości powietrza, zarówno wewnątrz domu, jak i w jego najbliższym otoczeniu – tłumaczy. – Zachęcam każdego, kto jeszcze się waha, aby rozważył udział w tym programie. Moja historia pokazuje, że warto – dodaje.

Dotacja i dotacja z prefinansowaniem

Warto przemyśleć radę pana Krystiana. Umowy z beneficjentami w programie mają być podpisywane do 31 grudnia 2030 r. O dofinansowanie mogą występować osoby fizyczne, które są właścicielami lub współwłaścicielami domu jednorodzinnego lub wydzielonego w nim lokalu mieszkalnego z wyodrębnioną księgą wieczystą. Obecnie minimalny okres tej własności musi wynosić 3 lata przed złożeniem wniosku. Wymóg ten nie dotyczy sytuacji spadkowych. Ponadto osoby składające wnioski muszą spełniać kryteria dochodowe określone w programie, a w przypadku najwyższego dofinansowania – także wymogi dotyczące standardu energetycznego budynku. Są to:

- **podstawowy poziom** – do 40 proc. dofinansowania netto (bez VAT, który nie jest kwalifikowany w programie), próg dochodu: 135 000 zł/rok;
- **podwyższony poziom** – do 70 proc. dofinansowania netto, próg dochodu:
  - 2 250 zł/osobę w gospodarstwie wieloosobowym,
  - 3 150 zł w gospodarstwie jednoosobowym,
  - roczny przychód z tytułu prowadzenia działalności gospodarczej – maksymalnie czterdziestokrotność kwoty minimalnego wynagrodzenia za pracę;
- **najwyższy poziom** – do 100 proc. dofinansowania netto, próg dochodu:
  - 1 300 zł/osobę w gospodarstwie wieloosobowym,
  - 1 800 zł w gospodarstwie jednoosobowym
  - lub otrzymywanie zasiłków (stały, okresowy, rodzinny, specjalny opiekuńczy),
  - roczny przychód z tytułu prowadzenia działalności gospodarczej – maksymalnie dwunastokrotność kwoty minimalnego wynagrodzenia za pracę,
  - zapotrzebowanie na energię użytkową do ogrzewania w budynku powyżej 140 kWh/m²/rok.

W programie dostępne są obecnie następujące formy wsparcia:

- **dotacja** – przyznawana przez wojewódzki fundusz ochrony środowiska i gospodarki wodnej (WFOŚiGW); wniosek można złożyć za pośrednictwem gminy, jeśli prowadzi ona punkt konsultacyjno-informacyjny dotyczący programu. Wypłacana jest w całości lub maksymalnie w trzech częściach, po złożeniu wniosku o płatność i udokumentowaniu realizacji przedsięwzięcia;
- **dotacja z prefinansowaniem** – dostępna dla podwyższonego i najwyższego poziomu dofinansowania. Środki wypłacane są zaliczkowo przed rozpoczęciem inwestycji, na podstawie dyspozycji wypłaty zaliczki złożonej przez beneficjenta wraz z fakturą zaliczkową wystawioną przez wykonawcę inwestycji. Dotacja z prefinansowaniem dostępna jest tylko przez operatora programu.

Obecnie w programie Czyste Powietrze dostępni są operatorzy – gminy lub WFOŚiGW – wspierający beneficjentów w uzyskaniu i rozliczeniu dotacji. Ich pomoc jest obowiązkowa przy najwyższym poziomie dofinansowania i prefinansowaniu. Operator pomaga przejść przez procedury, ale nie przejmuje odpowiedzialności za inwestycję ani wybór wykonawcy. Po szczegóły warto sięgnąć do strony programu: czystepowietrze.gov.pl.

Fundacja Ziemia i Ludzie

czyste powietrze zdrowy wybór

NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

Niniejszy materiał został dofinansowany ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Za jego treść odpowiada wyłącznie Fundacja Ziemia i Ludzie.

eprasa.pl ffca6fe78e

dokończenie ze str. 7

zaplecza ekonomicznego i dialogu społecznego - spraw o których trudno jest nawet rozmawiać, nie mówiąc już o znajdowaniu jakichkolwiek recept. Łatwiej jest szafować wyrokami i pokazać palcem: to ich wina.

Oficjalna Warszawa lubi opowiadać o rozwoju: inwestycjach, metrze, nowych dzielnicach, wysokiej jakości życia. Co z tej opowieści wypada? Kogo w tej oficjalnej Warszawie nie ma?
Jak zwykle w takim dyskursie nie ma nieuprzywilejowanych i wykluczonych. Społecznie czy ekonomicznie. Tych, którzy mierzą się ze skrajnym ubóstwem i bedomnością na ulicach Warszawy, ale też tych, którzy zaharowują się po łokcie, a i tak nigdy nie będzie ich stać na własny kąt w tym mieście. Wynajem krótkoterminowy, potencjał inwestycyjny i zagraniczny kapitał... czy po prostu późny kapitalizm, w którym przyszło nam żyć sprawia, że tak zwaną klasę średnią coraz rzadziej stać na zakup mieszkania w dużych miastach. To cienie wspomnianego rozwoju, który jednocześnie jest jak najbardziej realny. Widzę, jak to miasto kwitnie. Warszawa jest wspaniała do życia. Mam znajomych, którzy wracają z Wielkiej Brytanii, Skandynawii czy Niemiec, bo Warszawa jest dla nich najlepszym miejscem do wychowywania dzieci, pracy, relaksu i obcowania z kulturą. A jednocześnie mam przyjaciół, którzy zajmując się kulturą nie są w stanie znaleźć tu żadnego lokalu, którego najem byłby dla nich jakkolwiek opłacalny względem ich alternatywnego, niszowego repertuaru. Deweloperka wygryza co rusz kolejne obszary miasta, a jednocześnie w zaułkach pączkują lokalne inicjatywy czy kipiące entuzjazmem małe sceny muzyczne. I właśnie dlatego, że to miasto cały czas jest w procesie, jest ono tak fascynujące.

Jeden z rozdziałów książki nosi tytuł „Nie ma Boga, jest załoga". To jest definicja warszawskiej, podwórkowej religii, w której lojalność jest ważniejsza niż instytucje? Jak to rozumieć?
To hasło starsze niż ja - punkowe i podwórkowe. Nie ja je wymyśliłem, ale ono dużo mówi o świecie w którym dorastałem. Wychowała mnie bowiem kontrkultura. Metal, punk i hardcore. Reggae'owe soundsystemy i scena klubowa. A przede wszystkim rap - pierwsza muzyka, która opowiadała o mojej rzeczywistości. Jestem dzieckiem tej gęstej kultury miejskiej, sub-kultury, tego wszystkiego, co dzieje się pod powierzchnią. Cała ta muzyka i - szerzej - pewien sposób życia opowiadały się przeciw systemowi. Wychowałem się na piosenkach, które mówiły, że system jest gdzieś tam daleko, można rzucić w niego butelką i żyć poza nim. A dzisiaj - jako dorosły człowiek, ojciec dwójki dzieci, ktoś, kto spędził trochę czasu na terapii i (mam nadzieję, bo nie mi to oceniać) wykazuje sporo autorefleksji - wiem, że system jest wszędzie. We mnie, w pani i pomiędzy nami. Nie mogę w niego niczym rzucić, nie mogę i - przede wszystkim - nie chcę z niego wyjść. Chcę być jak najbardziej świadomym i empatycznym elementem tego systemu.
I mam ogromne szczęście, że wokół siebie mam naprawdę liczną rzeszę ludzi, którzy myślą podobnie. To jest moja załoga, a właściwie jedyne co nas łączy to szczerość. Nie grupa zawodowa, zainteresowania, status materialny, poglądy czy wiara, ale szacunek dla siebie nawzajem i odwaga mówienia prawdy nawet kiedy ta boli. Z jednymi widzę się częściej z innymi rzadziej, ale wiem, że na wszystkich mogę zawsze liczyć - wspólnie walczymy o lepsze jutro i to już nie jest wbrew komuś. Przez lata działałem wbrew. Mówiłem, że nienawidzę ludzi i systemu. A dzisiaj wiem, że sam buduję ten system, bo to słowo nie oznacza ani państwa, ani żadnej instytucji, ani też któregoś konkretnego paragrafu z kodeksu karnego. System to ludzie. Staram się więc być jak najlepszym człowiekiem, żeby ten system też był coraz lepszy. Chociaż jestem w nim tylko małą mróweczką.

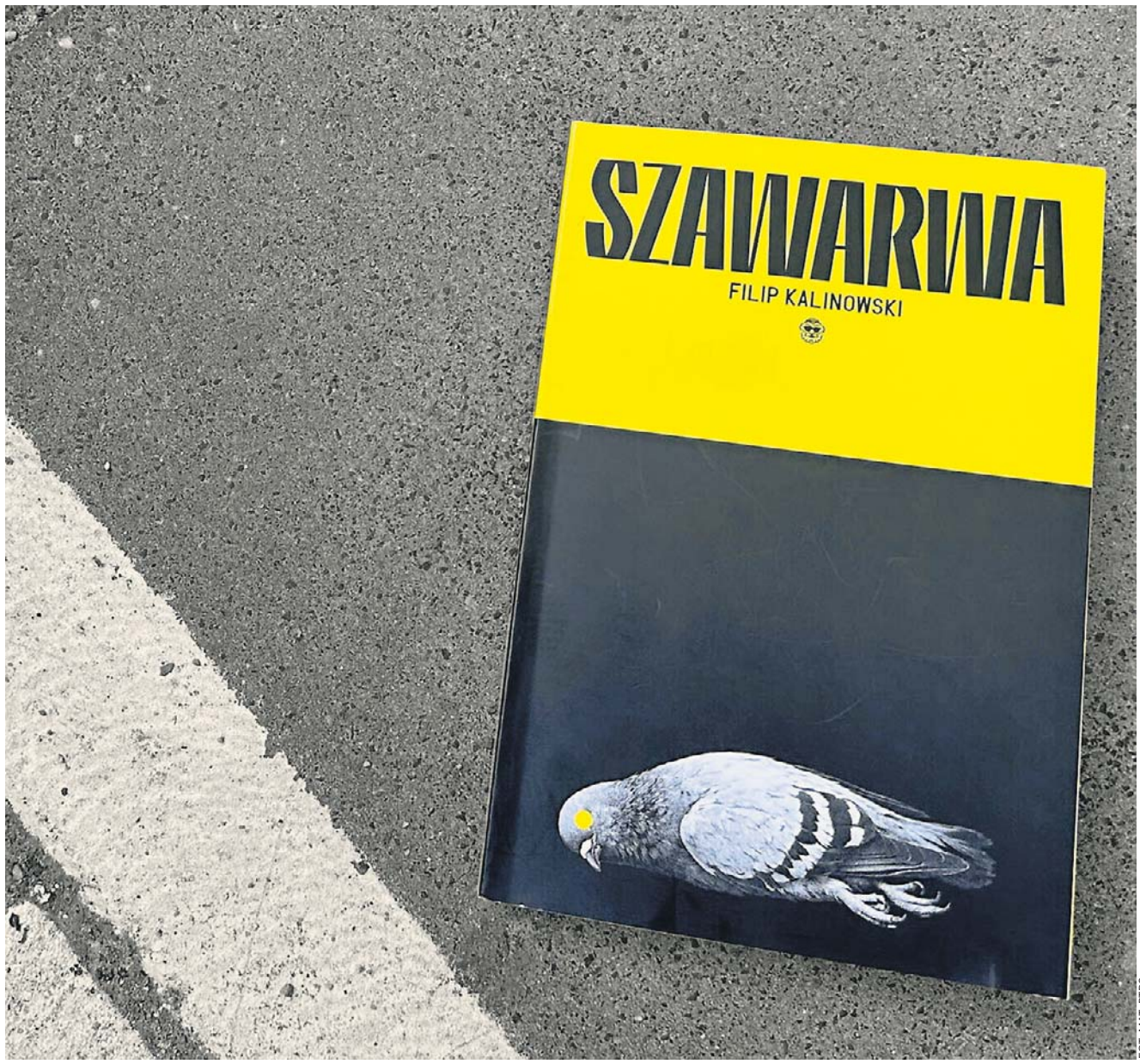

FOT. MAT. PTRS.

Filip Kalinowski: Chodząc po ulicach tego miasta, można przyjąć bardzo wiele różnych strategii. Można czytać Warszawę historycznie: przez wszystkie tablice upamiętniające tragiczne zdarzenia, przez ślady po kulach...

PRZEZ LATA DZIAŁAŁEM WBREW. MÓWIŁEM, ŻE NIENAWIDZĘ LUDZI I SYSTEMU. A DZISIAJ WIEM, ŻE SAM BUDUJĘ TEN SYSTEM

Gdyby miał pan oprowadzić czytelnika po Warszawie z „Szawarwy", gdzie by pan go najpierw zaprowadził? Na Bakalarską, pod komendę, do klubu, na bazar, do tunelu?
Kiedyś prowadziłem podobny spacer. Poprosiła mnie o to koleżanka, która realizowała projekt artystyczny w dawnym hotelu Forum, dzisiejszym Novotelu. Był skierowany do ludzi, którzy dopiero oswajali się z Warszawą; z tego co pamiętam nikt z nich nie mógł tu mieszkać dłużej niż trzy lata. Wspólnie mieli stworzyć akcję performatywną opowiadającą o różnych doświadczeniach ludzi przeprowadzających się do Warszawy. Spod Forum ruszyliśmy więc bocznymi ulicami, zaułkami i bramami po okolicy, a ja opowiadałem o tym, że tu kiedyś był klub muzyczny, tam pod świeżą warstwą farby była zapisana sprejem cała historia subkulturowej Warszawy, a tu... nie przejdziemy, bo powstała nowa plomba, wszędzie są bramy, wideofony i kamery. Nie mogłem się pozbyć skojarzenia z wycieczkami po Getcie Warszawskim - opowieścią o tym, czego nie ma. Ta zmiana nastąpiła płynniej, mniej zauważalnie i - na szczęście - nie tak tragicznie. I może właśnie o pamięć o niej trochę się upominam. Kultura miejska w Polsce nie jest wystarczająco dokumentowana. Wiele z tych miejsc miało ogromne znaczenie kulturotwórcze, a dziś nikt już o tym nie wie. Szliśmy i mówiłem: tutaj był klub, w którym zaczynały projekty muzyczne, które dziś są powszechnie znane i zapełniają areny. Choćby PRO8L3M, dziś jeden z największych zespołów w tym kraju, swój pierwszy koncert zagrał w klubie Powiększenie, który mieścił się w na tyłach Chmielnej. To miasto można czytać przez graffiti, które znika każdego kolejnego dnia, nocne lokale, które przegrywają walkę z bezdusznym kapitalizmem i podwórkowe legendy, które żyją tylko w opowieściach. Moje osiedle też wygląda dziś zupełnie inaczej. W książce pojawia się refleksja nad tym, że asfalt został zerwany, żeby mogły pojawić się klomby kwiatów. Bloki zostały odmalowane, a moja tysiąclatka zupełnie przebudowana. Nakręcenie filmu o latach 90. wymagałoby dzisiaj podobnej pracy scenograficznej jak kręcenie filmu o II Wojnie Światowej. Wydawałoby się, że to miasto rozwija się płynnie, ale ono, mam wrażenie, że rozwija się skokowo. Symbolem tego jest Rotunda, której... nie ma. Jest nowa Rotunda, zbudowana na kształt poprzedniej.

Została wybudowana właściwie dzięki protestom. Gdyby nie protesty, to by jej nie było.
Tak. I to jest dla mnie przykre, bo to także symbol kapitalizmu. Przy odpowiednich wpływach i budżecie można tu zburzyć nawet zabytek. Cegła po cegle, szyba po szybie, blacha po blasze można rozebrać cały budynek do fundamentów, a potem zbudować go od nowa według nowych standardów wydajności i opłacalności. Żal mi, że nie ma Sezamu. Żal mi Supersamu, kina Moskwa i nawet Czarnego Kota. Żal mi historii, która była w nich zapisana. Więc z jednej strony byłaby to przechadzka po miejscach, których nie ma. A z drugiej, spacer po tym, jak można czytać Warszawę. Bo moim zdaniem, chodząc po ulicach tego miasta, można przyjąć bardzo wiele różnych strategii. Można czytać Warszawę historycznie: przez wszystkie tablice upamiętniające tragiczne zdarzenia, przez ślady po kulach...

...przez rany.
To bardzo celne. Przez rany. Ale można ją też czytać przez kontrkulturę, która mnie wychowała: przez graffiti, hasła kibicowskie, plakaty i naklejki. Można ją też czytać przez reklamę. Fascynuje mnie to, że kiedy stoję na Żelaznej, widzę sto lat tego miasta naraz: zabudowę przedwojenną, PRL, lata 90. i współczesność. Wszystko w jednym obrazie. Można zrobić zdjęcie, w którym widać co najmniej cztery okresy z historii Warszawy w jednym kadrze. Sporo podróżowałem po świecie i nie znam drugiego takiego miasta. Gdziekolwiek bym nie był i jak bardzo by mnie to miejsce nie fascynowało, to zawsze tesknię i cieszę się kiedy tu wracam. A jednocześnie też Warszawa przysparza mi wielu lęków, bolączek i frustracji, widzę tu bardzo wiele problemów, na które nie ma prostych rozwiązań. Szczególnie w tych pęknięciach, o których wcześniej rozmawialiśmy. Jak to w dużym mieście - dzieje się tutaj wszystko. Ważne, żeby widzieć, słuchać, czuć i reagować. Być ze swoim miastem w nieustannym dialogu.

eprasa.pl ffca6fe78e

KASK JUŻ OBOWIĄZKOWY. ALE JAK ZMUSIĆ LUDZI DO ROZSĄDKU?

Wprowadzony właśnie obowiązek jazdy w kaskach na rowerach, hulajnogach i urządzeniach transportu osobistego dla dzieci do lat 16. to ulga dla ich rodziców i... chirurgów. Ale niektórzy przekonują, że skutek może być opłakany

Matylda Witkowska



FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Dzieci muszą już jeździć na rowerach i hulajnogach elektrycznych w kaskach ochronnych

Pan Mariusz, ojciec nastolatka spod Łodzi obowiązek jazdy w kasku przywitał z ulgą. - Widziałem na własne oczy, czym może skończyć się zderzenie dziecka na rowerze z samochodem. Syn sąsiada jechał drogą rowerową, nagle z posesji wyjechał inny sąsiad samochodem. Dzieciak go nie zauważył, uderzył głową w maskę auta tak, że kask mu pękł, a maska w aucie się wgniotła. Na szczęście ochrona głowy zadziałała. Młody był po wypadku trochę skołowany, ale nic mu się nie stało. Nie wiem, co by było, gdyby jechał bez tego kasku - wspomina.

Swojego syna od małego uczył jazdy w kasku. Do późnej podstawówki chłopiec był posłuszny, ale rok temu przestał jeździć w kasku, bo koledzy z klasy też nie używali kasków. - Mam nadzieję, że dzięki przepisowi teraz będzie w końcu jeździł w kasku. A jeśli nie, to potrącę mu mandat z kieszonkowego! - odgraża się ojciec.

Od 3 czerwca wszystkie dzieci do szesnastego roku życia kierujące rowerami, hulajnogami elektrycznymi i tzw. urządzeniami do transportu osobistego (np. segwayami czy elektrycznymi deskorolkami) mają obowiązek używania kasków ochronnych. Kaski muszą mieć też dzieci przewożone w fotelikach i w przyczepkach, chyba że konstrukcja sprzętu to uniemożliwia a ma on pasy. Nie jest jasne czy kask muszą mieć maluchy do lat dziesięciu, bo według prawa traktowane są jak... piesi. Natomiast za brak kasku policja może nałożyć mandat karny w wysokości do 100 złotych, ale nie dostaną go dzieci, tylko rodzice lub opiekunowie. Na razie wygląda na to, że rodzice się przejęli. W ostatnich dniach maja w sklepach rowerowych pojawiło się sporo osób szukających dziecięcych kasków. Niestety, nie są one tanie. - Rodzice zwykle kupują te najtańsze, za około 200 złotych - słyszymy w jednym ze sklepów.

W pierwszych dniach obowiązywania nowych przepisów policjanci będą skupiali się na pouczeniach. - Regulacje dotyczące obowiązku używania kasków przez osoby do szesnastego roku życia są nowym rozwiązaniem, funkcjonariusze w pierwszej kolejności będą prowadzić działania edukacyjne i profilaktyczne, mające na celu uświadamianie młodzieży oraz ich opiekunów o znaczeniu tych przepisów dla bezpieczeństwa - informuje mł. asp. Izabela Wypychowska z zespołu prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. - Jednocześnie w przypadkach rażącego lub uporczywego naruszania obowiązujących przepisów policja będzie kierować wnioski i materiały do właściwego sądu rodzinnego i nieletnich, który podejmie dalsze decyzje w sprawie - dodaje.

Teoretycznie policjanci widząc dziecko bez kasku powinni ustalić jego wiek i dane - na podstawie karty rowerowej, którą ma obowiązek mieć przy sobie - a później znaleźć kontakt do opiekunów i ewentualnie nałożyć na nich karę. Policja nie tłumaczy, jak to będzie wyglądać w praktyce.

Podkom. Maksymilian Jasiak z Komendy Miejskiej Policji w Łodzi zaznacza jednak, że zamiast zastanawiać się nad konsekwencjami prawnymi lepiej pomyśleć o konsekwencjach dla życia i zdrowia.

- Rowerzysta, podobnie jak pieszy to niechroniony uczestnik ruchu drogowego i w starciu z otoczonym karoserią ciężkim pojazdem nie ma szans. Dlatego dla własnego bezpieczeństwa lepiej ten kask założyć - zaznacza. Podkreśla, że policjanci sami dają dobry przykład - funkcjonariusze jeżdżący w patrolach rowerowych obowiązkowo noszą kaski.

Stanowisko policji potwierdzają raporty, bo młodzi ludzie na rowerach i hulajnogach ulegają wypadkom. Tylko w tym roku do połowy maja - a sezon dopiero się zaczyna - w województwie łódzkim doszło do 33 zdarzeń drogowych z udziałem nieletnich na hulajnogach elektrycznych i 32 zdarzeń z udziałem młodocianych rowerzystów.

Dane nie obejmują jeszcze dwóch ostatnich tragicznych wydarzeń z Kutna. 25 maja jadący na hulajnodze 15-latek zderzył się z również jadącym hulajnogą 52-latkiem. Chłopiec miał na głowie kask, nie odniósł większych obrażeń, ale starszy mężczyzna nie miał ochrony, co skończyło się dla niego tragicznie - uderzył głową w metalowy słup i zmarł w szpitalu. Kilka dni później - również w wyniku obrażeń mózgu - zmarł 62-latek, który 25 maja zderzył się z jadącymi na jednej hulajnodze dwiema nastolatkami.

Takie wypadki do tej pory były rzadkością. Według danych Polskiego Obserwatorium Bezpieczeństwa w Ruchu Drogowym w regionie łódzkim w roku 2025 na hulajnodze nie zginął nikt (w całym kraju jedenaście osób), a na rowerach śmierć poniosło dwanaście osób (w całym kraju 157). Ale różnego rodzaju obrażenia głowy wśród użytkowników jednośladów są bardzo częste. Wśród ofiar wypadków ma je od 18 do 41 proc. jeżdżących na e-hulajnogach, 20-24 proc. rowerzystów i 35 proc. ofiar poruszających się na rowerach elektrycznych. Jednocześnie używanie kasku może realnie pomóc - u rowerzystów zmniejsza śmiertelne obrażenia głowy o 71 proc, zaś u użytkowników hulajnóg wszystkich obrażeń głowy jest o 44 proc. mniej.

- Brutalna prawda jest taka, że w mieście około 90 proc. powierzchni jest twardych - mówi Adam Stępka, ratownik medyczny z Łodzi. Podkreśla, że nasz mózg jest bardzo wrażliwy na urazy i każdy uraz czaszkowo-mózgowy to igranie z życiem i śmiercią. - Już uczestnik ruchu poruszający się jednośladem z prędkością 20-30 km/h, gdy dojdzie do wypadku może doznać krwotoku wewnątrzczaszkowego, który zagraża życiu - podkreśla Adam Stępka.

Jednocześnie ratownik zwraca uwagę, że obowiązkowe kaski to tylko jeden czynnik mający wpływ na urazy, bo wzmaga je też prędkość.

- Powinniśmy dopilnować, by część użytkowników jednośladów nie zdejmowała z nich blokad prędkości - mówi.

Tym torem myślenia idą rowerzyści. Uważają oni, że pomysł obowiązkowych kasków dla młodych rowerzystów jest efektem... rosnącej liczby użytkowników dużo bardziej niebezpiecznych hulajnóg elektrycznych. Z danych Polskiej Federacji Rowerowej wynika, że ryzyko wypadku na mającej małe kółka i duże przyspieszenie elektrycznej hulajnodze jest niemal dwadzieścia razy większe niż na zwykłym rowerze. Jednocześnie w ostatnich latach - także z powodu rozwoju infrastruktury - spada liczba zdarzeń drogowych z udziałem rowerzystów.

- Musimy rozróżnić dwie rzeczy: to, czy warto mieć kask na głowie i to, czy państwo powinno zabraniać dzieciom i młodzieży jazdy na rowerze bez kasku i karać za to mandatami - podkreśla Andrzej Janowski, członek zarządu Polskiej Federacji Rowerowej. - My uważamy, że karanie za jazdę na rowerze bez kasku to krok za daleko. Państwo powinno zachęcać do jazdy na rowerze, bo korzyści są bardzo duże. Natomiast obowiązek jazdy w kasku i karanie za jego brak może zniechęcać użytkowników. Tak niestety się stało w nielicznych krajach, które takie obowiązki wprowadziły - zaznacza.

Federacja podkreśla, że zakup kasku to spory koszt, a w przypadku dzieci taki sprzęt powinien być wymieniany mniej więcej co trzy lata. To może wykluczyć część dzieci z rowerowej aktywności. Z danych PFR wynika, że w Australii po wprowadzeniu obowiązkowej jazdy w kasku w ciągu roku prawie połowa 12-17-latków zrezygnowała z jazdy na rowerze. Dlatego zdaniem federacji lepszym rozwiązaniem - przynajmniej dla samych rowerzystów - jest zachęcanie do jazdy w kaskach i walka raczej o zmniejszenie liczby wypadków przez poprawę infrastruktury rowerowej czy lepszą edukację o ruchu drogowym.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl ffca6fe78e

Polska
Poniedziałek, 8.06.2026

Najpierw w walcowni Huty Częstochowa realizowano zdjęcia do nowej wersji filmu „Nieśmiertelny” z Henrym Cavillem w roli głównej. Teraz filmowcy kręcą w Zabrzu. Choć producent nie potwierdza oficjalnie tytułu, to zdradza nam, jak wygląda realizacja ogromnej hollywoodzkiej produkcji w naszym kraju

Piotr Ciastek

WIEMY, DLACZEGO HOLLYWOOD KRĘCI „NIEŚMIERTELNEGO” NA ŚLĄSKU



FOT. KARINA TROJOK

Ekipa filmowa pracuje w Zabrzu. Jeremy Irons, który pojawił się na planie „Nieśmiertelnego”, zelektryzował fanów

Od tygodni podążamy śladami produkcji nowej wersji „Nieśmiertelnego” („Highlander”), która powstaje w Polsce. Po zdjęciach realizowanych w Łodzi ekipa przeniosła się do województwa śląskiego – najpierw do Częstochowy, a następnie do Zabrza. Choć firma Alex Stern, odpowiadająca za realizację projektu w naszym kraju pod roboczym tytułem „INULA”, nie ujawnia oficjalnie, jakiego filmu dotyczą zdjęcia, wiele wskazuje na to, że powstaje tu właśnie wysokobudżetowa produkcja fantasy z Henrym Cavillem. Tym bardziej że wybór lokalizacji w przypadku dużych międzynarodowych filmów nie jest przypadkowy. To wieloetapowy proces, który rozpoczyna się na długo przed wejściem ekipy na plan i wymaga szczegółowej analizy potencjalnych miejsc zdjęciowych.

Jak Częstochowa i Zabrze znalazły się na celowniku produkcji? Robert Golba, prezes zarządu firmy Alex Stern, która odpowiada za produkcyjną obsługę projektu „INULA” w Polsce, podkreśla, że decyzje o wyborze lokacji do kręcenia zdjęć zapadają wspólnie między stroną kreatywną a lokalnym partnerem.

– Wybór lokalizacji to wynik standardowego procesu location scoutingu, w którym uczestniczą reżyser, production designer oraz ekipa scenograficzna studia, wspierani przez polskiego producenta wykonawczego (Alex Stern Sp. z o.o.). Nasza firma od wielu lat utrzymuje aktywną bazę lokacji w całej Polsce – włącznie z obiektami industrialnymi i sakralnymi na Górnym Śląsku – i przedstawia ją zagranicznym partnerom. Ostateczne decyzje podejmuje twórczy zespół reżysera – mówi w rozmowie z DZ Robert Golba.

Jak dodaje, sam proces wyboru nie ogranicza się do kilku propozycji.

– W procesie scoutingu rozważanych jest zwykle kilkadziesiąt lokalizacji – zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami. Z szacunku dla obiektów i podmiotów, które nie zostały finalnie wybrane, nie podajemy ich nazw. Każda decyzja jest wypadkową względów artystycznych, logistycznych i budżetowych. Polska oferuje wyjątkowo bogaty wybór: od obiektów postindustrialnych, przez architekturę modernizmu, po lokacje plenerowe – wyjaśnia.

Ostatecznie to właśnie województwo śląskie, z Częstochową i Zabrzem, znalazło się na tym etapie w centrum zainteresowania twórców hollywoodzkiej produkcji.

Największe emocje wśród obserwatorów produkcji wzbudziła Huta Częstochowa, gdzie – jak widzieliśmy na własne oczy – w ubiegłym tygodniu kręcono sceny z udziałem Henry’ego Cavilla. Aktor kilkukrotnie w ciągu tygodnia zdjęciowego wychodził do fanów przed bramę walcowni, pozował do zdjęć i rozdawał autografy. Na teren huty zwieziono tony sprzętu, a na zewnątrz budynku można było na przykład spotkać kaskaderów lub instruktorów przechadzających się z mieczami. Z kolei w poniedziałek, 1 czerwca, ruszyły zdjęcia w Zabrzu, a na planie pojawił się Jeremy Irons.

To właśnie w naszym województwie filmowcy znaleźli przestrzeń, której nie da się łatwo odtworzyć w warunkach studyjnych.

– Połączenie kilku czynników: unikalna architektura (kościół św. Józefa w Zabrzu to wybitne dzieło Dominikusa Böhma z lat 1930-1931, uznawane za jeden z najwybitniejszych przykładów modernizmu sakralnego na Górnym Śląsku), autentyczność materiałowa i monumentalność lokacji industrialnych w Częstochowie, możliwości organizacyjne miast oraz wsparcie samorządów. Tego typu lokacji – o prawdziwym, niefilmowym charakterze – nie da się zbudować w studio. To właśnie cenią międzynarodowi twórcy – podkreśla Robert Golba.

W przypadku Huty Częstochowa chodzi nie tylko o skalę, ale także o jej „filmową surowość”, którą coraz częściej poszukują światowe produkcje.

– Huta Częstochowa to lokacja o autentycznym, monumentalnym charakterze, którego nie sposób odtworzyć w warunkach studyjnych. Skala, faktura, historia tego miejsca – wszystko to nadaje obrazom unikalną głębię, którą doceniają twórcy międzynarodowych produkcji – mówi prezes Alex Stern.

Twórcy nie ujawniają, jakie sceny powstają w poszczególnych lokalizacjach, ale podkreślają, że Polska nie jest jedynie tłem dla historii. Z naszych ustaleń wynika, że w kościele w Zabrzu kręcone są zdjęcia do scen rozgrywających się w jednej z placówek organizacji The Watchers, która obserwuje tytułowych nieśmiertelnych i uważa ich za wrogów ludzkości. Na ich czele stoi właśnie postać portretowana przez Ironsa.

– Mogę ogólnie powiedzieć, że polskie lokacje pełnią w filmie istotną funkcję wizualną – nie są to zdjęcia drugorzędne ani tła.

Choć przedstawiciele producenta nie mogą oficjalnie potwierdzać obsady ani tytułu filmu, informacje o obecności Henry’ego Cavilla w Częstochowie i na Śląsku pojawiały się w przestrzeni publicznej wielokrotnie.

Widzieliśmy aktora na terenie Huty Częstochowa tuż przed realizacją zdjęć w walcowni. W sieci pojawiały się również nagrania z aktorem, zrobione przez jego fanów. Produkcja jednak oficjalnie nie może zdradzić, jakie sceny były u nas kręcone.

– Ze względu na ochronę treści filmu i zobowiązania wobec studia nie ujawniamy szczegółów scen ani sposobu wykorzystania konkretnych lokacji w narracji – zaznacza Robert Golba.

Jednocześnie podkreśla, że ekipa bardzo dobrze oceniła warunki pracy w regionie.

– Mogę natomiast w skali ogólnej powiedzieć, że cały zespół twórczy i aktorski przyjął polskie lokacje z dużym uznaniem.

Śląsk i Częstochowa coraz częściej pojawiają się w radarach międzynarodowych produkcji nie tylko ze względu na wygląd, ale także organizację i zaplecze.

– Współpraca z władzami obu miast oraz lokalnymi instytucjami była wzorcowa. Urzędy miejskie, służby porządkowe i lokalne instytucje wykazały się dużym profesjonalizmem i sprawnością operacyjną. Szczególnie zaskoczyła nas otwartość i szybkość decyzyjna. W wielu sprawach, które przy międzynarodowych produkcjach potrafią ciągnąć się tygodniami, na Śląsku otrzymywaliśmy konkretne odpowiedzi w ciągu kilku dni – mówi Golba.

eprasa.pl ffca6fe78e



FOT. KARINA TROJOK

Dzieło Dominikusa Boehma, kościół św. Józefa w Zabrzu, zachwyca cały architektoniczny świat. Niezwykły klimat miejsca zafascynował teraz filmowców



FOT. PIOTR CIASTEK

Największe emocje wśród obserwatorów produkcji wzbudziła Huta Częstochowa, gdzie w ubiegłym tygodniu kręcono sceny z udziałem Henry'ego Cavilla



FOT. KARINA TROJOK

W kościele w Zabrzu kręcono sceny związane z tajną organizacją The Watchers, która tropi nieśmiertelnych

Jednym z elementów infrastruktury wykorzystanej przez ekipę filmową był stadion Górnika Zabrze, który pełnił funkcję zaplecza logistycznego.

– Obiekt posiada infrastrukturę odpowiednią do potrzeb dużej produkcji filmowej: przestrzenie zaplecza, parkingi, możliwość organizacji pracy ekipy technicznej – dodaje Golba.

Samorządy rozumieją, że obecność dużych produkcji to nie tylko przychody w danej chwili.

Przedstawiciele branży podkreślają, że Polska coraz mocniej zaznacza swoją pozycję na filmowej mapie Europy, szczególnie w segmencie lokacji postindustrialnych. Dlaczego? Z prostej przyczyny: u nas jeszcze wiele takich lokacji pamięta czasy PRL-u, a nawet i wcześniejsze.

– W Europie Zachodniej duża część obiektów postprzemysłowych została w ciągu ostatnich dekad albo wyburzona, albo przekształcona w ekskluzywne inwestycje, które utraciły swój pierwotny, industrialny charakter. Polska – w tym Górny Śląsk – wciąż dysponuje autentycznymi obiektami w skali, której nie ma już gdzie indziej – zauważa prezes Golba.

Jego zdaniem o przewadze regionu decyduje jednak coś więcej niż same lokacje.

– To są trzy filary. Po pierwsze, kompetencje polskiej ekipy filmowej, która od dwóch dekad obsługuje największe międzynarodowe produkcje i nie ustępuje standardom zachodnim. Po drugie – stabilny, transparentny system finansowy (program Zachęt PISF, cash rebate). Po trzecie – dojrzałość samorządów, które rozumieją, że obecność dużych produkcji to nie tylko przychody w danej chwili, ale również długoterminowa promocja regionu i miejsca pracy – wylicza i dodaje, że region jest dziś bardzo konkurencyjny w skali europejskiej. – Łączy unikalne walory lokacyjne, kompetentną polską ekipę techniczną, atrakcyjny system zachęt finansowych PISF oraz otwartość samorządów i instytucji publicznych – dodaje.

Jak podkreśla Robert Golba, efekty tych działań widać już dziś.

– Każda duża międzynarodowa produkcja przekłada się na rozpoznawalność regionu w międzynarodowym środowisku filmowym, i nie tylko. Filmy są oglądane przez miliony widzów, a kolejne studia analizują, gdzie powstawały. Wrocław i Warszawa są już na tej mapie; Śląsk i Częstochowa są w bardzo dobrym momencie, by również zaistnieć.

Nie dałoby się jednak tego zrobić, gdyby nie ktoś, tu na miejscu, kto zna lokacje, nie potrafił zebrać profesjonalnej ekipy i zajął się wieloma aspektami produkcji. To właśnie za kulisami dużych produkcji stoi często niewidoczny dla widza partner lokalny.

KOMPETENCJE POLSKIEJ EKIPY FILMOWEJ, STABILNY SYSTEM FINANSOWY I DOJRZAŁOŚĆ SAMORZĄDÓW – TO WSZYSTKO PRZYCIĄGA ZAGRANICZNE EKIPY

W Polsce rolę partnera pełni właśnie firma Alex Stern, która odpowiada za pełną obsługę produkcji zagranicznych. Zakres jej działań obejmuje m.in. scou-ting lokacji, negocjacje, uzyskiwanie pozwoleń, zatrudnianie ekip technicznych, organizację logistyki oraz rozliczenia finansowe związane z systemem wsparcia PISF. Firma ma na koncie współpracę na terenie Polski przy takich produkcjach, jak „Most szpiegów", „Igrzyska śmierci: Ballada ptaków i węży" czy serial „Fundacja".

– Dla zagranicznego producenta jesteśmy „jedną twarzą" odpowiedzialną za wszystko, co dzieje się w Polsce. To wymaga połączenia kompetencji finansowych, prawnych, operacyjnych i międzykulturowych – mówi Golba.

Jak wyjaśnia, pierwszym etapem jest przygotowanie produkcji do wejścia do Polski.

– Etap przygotowawczy obejmuje location scouting, negocjacje z właścicielami obiektów i samorządami, uzyskiwanie zezwoleń dotyczących między innymi zamknięcia ulic, korzystania z obiektów publicznych czy kwestii związanych z ruchem drogowym. Na tym etapie powstaje również wstępny kosztorys polskiej części produkcji – tłumaczy Golba.

Kolejnym ważnym krokiem jest skompletowanie zaplecza niezbędnego do realizacji zdjęć.

– Kontraktowanie to zatrudnianie polskiej ekipy technicznej – operatorów, scenografów, kostiumografów, specjalistów od efektów specjalnych, oświetlenia, dźwięku czy charakteryzacji. To także kontraktowanie usługodawców, takich jak firmy transportowe, cateringowe, ochroniarskie czy hotele, oraz przygotowanie umów z polską stroną – wylicza.

Najbardziej intensywnym etapem jest jednak sama realizacja zdjęć.

– To bieżąca koordynacja na planie, logistyka, zarządzanie polską częścią ekipy, kontakt z lokalnymi władzami i instytucjami, a także obsługa ekipy aktorskiej w zakresie pobytu w Polsce – podkreśla Robert Golba.

Po zakończeniu zdjęć pozostaje jeszcze etap rozliczeń.

– Obejmuje on dokumentację kosztów na potrzeby zwrotu z programu Zachęt PISF, rozliczenia podatkowe oraz raportowanie wobec studia – dodaje Golba.

Co czeka ekipę po województwie śląskim? Podróż nad morze. Choć produkcja „Nieśmiertelnego" wciąż jest w toku, wiemy, że ekipa pozostanie w naszym kraju jeszcze przez jakiś czas. Jak wynika z naszych ustaleń, po Zabrzu filmowcy mają się przenieść do Trójmiasta. Prezes Alex Stern nie zdradza jednak szczegółów.

– Produkcja obejmuje również inne lokacje w Polsce. Z uwagi na bezpieczeństwo planu nie ujawniamy ich publicznie do czasu zakończenia zdjęć w danej lokalizacji – zaznacza Golba.

Czy Alex Stern i jego ekipa wrócą jeszcze na Śląsk? Jak przyznaje Golba, już teraz prowadzone są rozmowy dotyczące kolejnych międzynarodowych projektów, które rozważają realizację zdjęć w naszym kraju, także w jego południowej części.

– Nie mogę dziś podawać tytułów, ale trend wzrostowy jest wyraźny – zarówno w naszym własnym portfolio, jak i w skali całej polskiej branży. Liczba zapytań od zagranicznych studiów wzrosła w ostatnich dwóch,trzech latach znacząco – podkreśla.

Liczymy zatem na więcej i już nie możemy się doczekać, kiedy zobaczymy nasze częstochowskie i śląskie lokacje na kinowym ekranie.

eprasa.pl ffca6fe78e

Polska
Poniedziałek, 8.06.2026

MIETEK SZCZEŚNIAK: SKŁADAMY SIĘ Z CIAŁA I DUSZY, TRZEBA WIĘC NAKARMIĆ JEDNO I DRUGIE

Niektórym mogło się wydawać, że gdzieś zniknął, ale to nieprawda. Nagrywał i koncertował za oceanem. Teraz przywiózł stamtąd nową płytę – „Brothers". Nam opowiada o swej równie wielkiej pasji jak śpiewanie – o sadownictwie

Paweł Gzyl

Pana dokonania z ostatnich lat wskazują, że równie często co w Polsce pracuje pan w Stanach Zjednoczonych. Jak to możliwe?
A normalnie: jak zamykają się drzwi, to otwiera się okno. (śmiech) Lub inaczej – kiedy coś dzieje się przypadkiem, to podobno Pan Bóg występuje incognito. Tak mawiają mądrzejsi od nas. Jakiś czas temu spotkałem się z amerykańską wokalistką i producentką Wendy Waldman na wymianie artystycznej ze Stanami Zjednoczonymi. Powstał pomysł, żeby twórcy polskich i amerykańskich piosenek napisali coś razem. I Wendy, znana na świecie choćby z piosenki „Save The Best For Last" Vanessy Williams, zaznała współpracy ze mną (śmiech). Zdarzyło się nam tak, że przez dwa dni zrobiliśmy trzy piosenki po angielsku. Mówiąc potocznie – zażarło między nami.

Wendy Waldman jest cenioną artystką z kręgu folku i country. Panu raczej bliższy jest soul, funk i gospel. Jak znaleźliście tak dobre porozumienie?
Wendy prezentuje szerszy sposób myślenia o amerykańskiej muzyce, jak Bob Dylan czy Joni Mitchell. Ma otwarty umysł, jest z pokolenia dzieci kwiatów, kocha jazz, bluesa i rock and roll. Uprawia folk i pop podszyty innymi stylami. Dopiero będąc w USA przekonałem się, jak wielu jest wirtuozów wśród muzyków folk, country czy bluegrass. To naprawdę wybitni instrumentaliści i wokaliści. Pracowaliśmy z Wendy sporo, poszło nam naprawdę snadnie i owocnie. Nagraliśmy z tych naszych spotkań płytę „Signs" w 2011 roku. A potem przyszedł czas na album z chórem Life Choir z Los Angeles pod wodzą H.B. Barnuma.

To też znamienita postać i tym razem zdecydowanie panu bliższa.
Bezsprzecznie. Zaprzyjaźniłem się z nim, zanim doznałem wiedzy, z kim pracował i pracuje. Bo przez ponad 30 lat był kierownikiem muzycznym zespołu Arethy Franklin, a wcześniej produkował dla legendarnej wytwórni Motown nagrania takich wykonawców, jak Frank Sinatra, Ray Charles, Gladys Knight, The Jacksons 5. Nie miałem pojęcia, że to taka znamienita postać, bo przed naszym spotkaniem pewnie tak by się skończyło, że musiałbym zmieniać pieluchę. (śmiech)

Jak to się stało, że tacy uznani muzycy zechcieli pracować z wokalistą z Polski?
Ja z końca drogi i jeszcze na lewo spotkałem tam dwa światy: Wendy z amerykańskiego folku i H.B. Barnuma z soulu i gospel. Oni teraz razem współpracują, robią fajne rzeczy, a ja się cieszę ich przyjaźnią. Naprawdę mam tam w Los Angeles rodzinę. I właściwie mogę śmiało powiedzieć, że pracuję na dwóch kontynentach. Ostatnią swoją płytę „Nierówni" z wierszami ks. Jana Twardowskiego do moich kompozycji w stylu samby i bossa novy zrobiłem z Brazylijczykami w Stanach Zjednoczonych. Taką możliwość daje ten kraj, bo to mozaika kulturowa, największy eksperyment na ludzkości. Jeśli chcesz nagrać płytę z Brazylijczykami – to ją nagrywasz. Jeśli chcesz nagrać gospel z Afroamerykanami – też możesz. No i skorzystałem z tej okazji, bo sprzyjali mi ludzie, których tam poznałem. Oni pokochali mnie, a ja ich. Rzadko się zdarza taka przyjaźń na życie, szczególnie w średnim wieku. Cieszę się więc nią, tym miejscem, tymi możliwościami. Oni są starsi ode mnie, ale mamy takie same pasje, tak samo kochamy muzykować i mamy coś, co jest najważniejsze, bo daje wewnętrzną młodość – pasję oraz ciekawość odkrywania świata i człowieka. To jest coś niezależnego od wieku i narodowości. Niby skorupka się starzeje, a ta kwintesencja życia ciągle się żarzy i tętni.

Tym razem nagrał pan singiel z zespołem Wendy – The Refugees. W Ameryce określa się go supergrupą, bo wchodzą w jego skład znane tam osobowości.
To właśnie „Everybody Body And Soul" – pierwszy singiel zrobiony z nimi. Cidny Bullens grała z Eltonem Johnem czy Bobem Dylanem i nadal cieszy się ich przyjaźnią. To nietuzinkowa postać. Deborah Holland tworzyła z kolei w zespole Animal Instinct ze Stewartem Copelandem z The Police. Obie ciągle nagrywają płyty, piszą świetne piosenki, są aktywnymi artystkami. W naszym mieszczańskim podejściu do życia uważa się, że kiedy ktoś przekroczy pewien wiek, to jest już mało zdolny do wysnucia energii ze świata. A to jest niezależne od wieku, ale od pasji i ognia.

Ten ogień słychać w piosenkach z płyty „Brothers", które odwołują się do bluesa, soulu i funku. Co pana tak fascynuje w tej muzyce?
Stało się to dzięki Jadwidze Skolarskiej z Polskiego Radia, która puszczała fajne płyty. Nie było wtedy internetu i nie mieliśmy dostępu do muzyki z Zachodu. Czasem tylko pojawiały się w sklepach radzieckie reedycje The Beatles, zrobione na podstawie podobno kradzionych materiałów. (śmiech) Kiedy usłyszałem Arethę Franklin z czarnoskórym chórem – doznałem olśnienia. Że jest taka wspaniała muzyka, że są ludzie, którzy tak cudnie śpiewają, mają niesamowitą barwę głosu i ekspresję, że złożenie melodyki i harmonii, kompozycji i rytmu może być podane na wiele sposobów. Przeszła mi wtedy ochota na bycie śpiewakiem operowym, do czego pragnęła mnie przygotować moja nauczycielka – pani Lidia Małachowicz. Twierdziła, że jestem diamentem operowym i zdobędę sceny świata, ale ja byłem głodny większej ilości harmonii i rytmu. I to mi zostało: ciągle podziwiam muzykę, która powstała w wyniku spotkania białego i czarnego człowieka. Tak narodził się najpierw spirituals, potem gospel, blues, soul, funk i inne. Muzyka wyciekła z czarnych kościołów do popu i protestanccy pastorzy mieli o to pretensje, że stała się świecka. A to przecież oni zaczynali rap podczas swych kazań. (śmiech) Poznanie tego wszystkiego na własne oczy to jedna z największych przygód mojego życia.

Zaśpiewanie tych piosenek z afroamerykańskim chórem musiało być więc dla pana poruszającym przeżyciem.
Tak. Ale tu nie chodzi o snobowanie się na jakieś gwiazdy, tylko o spotkanie tej kultury na żywo i uczestniczenie w niej. Na dodatek oni czasem zadawali mi pytanie: „Jakbyś chciał, żeby chór zaśpiewał?". Myślałem sobie wtedy: „Aha, coś tu nie gra. Chyba sobie jaja ze mnie robią". (śmiech) A chodziło o rodzaj szacunku, jaki do mnie mieli. Zresztą ja mam podobne podejście – jak jest talent, to trzeba za niego podziękować i dobrze go wykorzystać, bo samemu się go nie wymyśliło, nie ma więc powodu, żeby zadzierać nosa. Trzeba tylko dobrze zadziałać i być za to wdzięcznym.

Ci uznani artyści z Ameryki byli zdziwieni, skąd w białym człowieku z dalekiej Polski taki czarny głos?
Oni spotykają bardzo wielu utalentowanych ludzi, bo przecież Ameryka jest największym eksperymentem na ludzkości. Tam każdy pochodzi z dziesięciu nacji, ras i kultur. Dlatego nie jest trudno w Ameryce spotkać utalentowanego człowieka. Stąd miałem obiekcje, żeby nagrywać coś po angielsku. Jeszcze przed nagraniem „Signs" mówiłem do H.B. Barnuma: „Jaki to ma sens? Przecież ja mam uszy i świadomość, ilu wspaniałych artystów mieliście, macie i mieć będziecie u siebie. Po co jeszcze ja? Po co drewno wozić do lasu? Ja mam swoją piękną publiczność w Polsce". A on mi na to: „Mietek, ja cię zachęcam, bo mnie nie obchodzi, jak ty wyglądasz czy skąd pochodzisz. Mnie obchodzi to, że ty opowiadasz językiem, który zrozumie każdy człowiek na Ziemi – mówisz językiem duszy". To było dla mnie wprost przejmujące. Przecież każdy z nas potrzebuje potwierdzenia swojej wartości i sensu tego, co robi, szczególnie od swego mentora, którym stał się dla mnie H.B. Barnum. A nie brakowało w Polsce takich, którzy mówili: „A ten to naśladuje Murzynów" albo „A ten to wyśpiewuje jakieś piosenki o Bogu, to trzeba go skasować". Nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy tak myślą. Jeżeli składamy się z ciała i duszy – trzeba nakarmić jedno i drugie, bo dopiero wtedy opowiadamy o całym człowieku.

Co sprawiło, że piosenki z płyty odwołują się do brzmień z przełomu lat 60. i 70.?
W tym zalewie elektroniki i nudnawych kompozycji już najwyższy czas, by posłużyć się prawdziwym podejściem do muzykowania, czyli graniem praktycznie na żywo w studiu. Ludzie, instrumenty, głosy. To zupełnie inna wibracja, inne nasycenie emocją. Dzięki temu ta muzyka może skrócić dystans z głowy do serca i na odwrót.

Teksty piosenek z „Brothers" mają pozytywne przesłanie, nawołujące do wewnętrznej przemiany. Taki przekaz w naszych mrocznych czasach jest dla pana ważny?
Bardzo. Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy. Bo jeśli jest już dwoje ludzi, którzy tak samo myślą, to kolejna ilość tych dwójek daje masę, która może coś naprawdę zmienić.

Mówił pan o „Brothers" już od dłuższego czasu. Trudno było wydać ten materiał w Polsce?
(śmiech) Nagrałbym w swym życiu chyba dwa razy więcej płyt, gdybym z wydaniem każdej nie miał tylu trudności. Taką mamy infrastrukturę, takich mamy wydawców, takie mamy media. Nie tylko ja mam takie trudności, ale wielu innych artystów, którzy starają się opowiedzieć swoją historię własnym językiem. Między nami a publicznością są media i wydawcy. Jeżeli oni stają okoniem, to ludzie nie są w stanie dowiedzieć się, co robimy. Nieważne, czy płyta jest po angielsku, czy o ciele, czy o duszy, czy może razem wziętych. To kwestia niesprawnie działającego systemu.

Mimo tych kłopotów z mediami i wydawcami, w zeszłym roku zaczął pan obchody czterdziestolecia swej kariery. Trudno utrzymać się tyle czasu w show-biznesie?
Mnie się udało, bo dostałem największą nagrodę, jaką artysta może dostać – czyli uwagę publiczności. Zagościłem na dobre w jej wyobraźni. Mimo dziur w swojej obecności w polskim życiu artystycznym, ludzie chcą mi towarzyszyć. Na moich koncertach bywają dziś trzy pokolenia. A to dlatego, że dla mnie nie muzyka była najważniejsza, ale przesłanie. To, co powoduje, że człowiek obcując z piosenką, zostaje zainspirowany do ważniejszych rzeczy niż ta piosenka. Nigdy nie chciałem ludzi frustrować, dodawać do tego świata wynurzeń na temat własnego smutku. Chciałem raczej wspierać i pomagać. I myślę, że mi się to po części udało. Mam tego przykłady w pięknych listach i rozmowach podczas podpisywania płyt po koncertach.

Przepustką do kariery stało się dla pana zwycięstwo w Opolu w 1985 roku. Nie było to takie oczywiste, bo zaśpiewał pan trudną piosenkę Krzesimira Dębskiego z tekstem Jacka Cygana – „Przyszli o zmroku".
Organizatorzy uprzedzali, że ma być lekko, łatwo i przyjemnie, a ja wybrałem jazzową kompozycję z zaangażowanym społecznie tekstem. Obawiałem się, że mogę zostać wygwizdany – tymczasem okazało się, że dzięki jury wygrałem „Debiuty". Ciepło przyjęła tę poważną piosenkę również opolska publiczność. A było to na cztery lata przed tym, jak ogłoszono w Polsce koniec komuny. Okazało się jednak, że jeżeli nikomu nieznany człowiek zaśpiewa z całego serca i na pełnym gazie, to widownia jest w stanie to odebrać i nagrodzić bisem. Tak też się stało i dostałem lekcję, że nie ma co chodzić na głupie skróty, podlizywać się i robić coś pod publiczkę, tylko trzeba tworzyć swoje rzeczy, bo znajdą się ludzie, którzy za tym pójdą i to docenią. I za to bardzo dziękuję polskiej publiczności.

eprasa.pl ffca6fe78e



FOT. PAWEŁ TRZESNIOWSKI

Mietek Szcześniak: Myślę, że zmiana świata zaczyna się od zmiany samego siebie i zmiany tych, których kochamy

Potem występował pan w Opolu, Sopocie i nawet w Zielonej Górze. A z drugiej strony śpiewał pan też na Jazz Jamboree. Gdzie czuł się pan na właściwym miejscu?
Ja w ogóle nie przepadam za konkursowymi festiwalami. Bo to jest nie wiadomo co: zbiorowisko ludzi, którzy nie wiedzą, na co przychodzą, a do tego każdy ma swój gust, z którym się nie dyskutuje. Najbardziej lubię spotkania z publicznością, która wie, na co przychodzi i dla której mogę zrobić opowieść o tym, jak widzę świat i jak mogę sobie i innym pomóc, bo to jest możliwe dzięki muzyce. Najbardziej prestiżowy był dla mnie występ na Jazz Jamboree w rok po debiucie. Ot, nikomu nieznany młodzian zaśpiewał na jednej z najważniejszych scen w całej Europie. Na ten festiwal przyjeżdżała bowiem świetna i świadoma publiczność.
W 1986 roku wystąpiłem na Jazz Jamboree dwukrotnie – z grupą Walk Away oraz ze Sławomirem Kulpowiczem w międzynarodowym składzie na czele z Alice Coltrane. To było dla mnie wielkie wydarzenie. Zacząłem wtedy nazywać siebie śpiewakiem, bo to dla mnie najlepsze określenie. Śpiewałem bowiem na festiwalach popowych, jazzowych, religijnych, poetyckich i muzyki współczesnej.

W powszechną świadomość Polaków wbił się pan duetem z Edytą Górniak w „Dumce na dwa serca". Jacek Cygan powiedział kiedyś o tej piosence: „Edyta z Mietkiem wznieśli się tu na wyżyny sztuki wokalnej". Zgodzi się pan?
Nie wiem. Może mogliśmy to lepiej zaśpiewać? (śmiech) Ten duet to zasługa wytwórni EMI, dla której wtedy oboje nagrywaliśmy, bo to ona wybrała akurat nas do tej piosenki. A my oboje chęćliwie podeszliśmy do tego zadania. Kocham różne gatunki muzyczne i staram się wiernie odtwarzać to, co jest dla nich charakterystyczne. Lubię również słowiańszczyznę. Nie wiedziałem jednak, że ta piosenka będzie miała taki oddźwięk. Powstaje przecież wiele utworów, o których ludzie nawet nie mają pojęcia, bo nie ma ich w publikatorach. Gdyby taką „Dumkę" nagrać na którąś z naszych płyt, a nie byłaby wizytówką filmu „Ogniem i mieczem", to raczej nie zaistniałaby w wielu radiach, szczególnie tych komercyjnych. Tymczasem okazało się, że trącenie tej słowiańskiej struny sprawiło, iż ludzie pokochali ten utwór aż tak, że ponoć był najdłużej na wszystkich listach przebojów w Polsce.

Podobno nagrywaliście tę piosenkę z Edytą osobno. To prawda?
Nie. Nagrywaliśmy razem. Poprawki tylko były nanoszone osobno.

W 1999 roku reprezentował pan Polskę na Eurowizji z utworem „Przytul mnie mocno". Po latach wyznał pan: „Pojechałem tam z czymś, co mnie nie odzwierciedlało". Jak to się stało?
Najpierw powstała piosenka, a potem został do niej wybrany wokalista. Tak zdecydowała wtedy telewizja. Eurowizja nigdy nie była moim ulubionym festiwalem, bo nie lubię konkursów. Artyści to nie sportowcy, a z gustami się nie dyskutuje. Każdy powinien hołdować takiej muzyce, jaka mu się podoba, a drugi powinien to szanować. Wcześniej wygrałem cztery duże europejskie festiwale, ale nie było tam pół kamery i nikt tego nie pokazał. Na Eurowizji było za to mnóstwo kamer – a ja akurat zająłem niespektakularne miejsce. (śmiech)

Nie odpowiadała panu ta piosenka?
Piosenka jest fajna, w stylu Seweryna Krajewskiego. Ale nie na takie czasy i nie na Eurowizję. Tam inne rzeczy są w cenie. Zresztą wszyscy wiedzą, że to manipulowany konkurs. Nie mówię tu o sobie. Ciągle nie wierzę, że Alicja Szemplińska dostała od widzów tylko siedemnaście punktów. (śmiech)

W międzyczasie mocno zaangażował się pan w tworzenie sceny muzyki chrześcijańskiej w Polsce, występując z zespołami New Life M, Deus Meus i TGD. Śpiewanie gospel było ważne w pana karierze?
Bardzo ważne. Choć okazało się, że w Polsce płaci się za to niespodziewanie wysoką cenę.

Czyli?
Czyli odrzucenie. Mieszkałem wtedy w Krakowie przy Placu Wolnica i nagle okazało się, że media i wydawcy, którzy bądź co bądź są polską inteligencją, zareagowali odrzuceniem mnie za przekroczenie tego, co jest od nas większe. Moje nagrania są rodzajem dziennika, który jest upubliczniony. Są wyrazem moich fascynacji i zainteresowań. A ponieważ najbardziej sobie cenię wolność w każdej dziedzinie życia, to zawsze robiłem to, co chciałem. Nie lubię, kiedy ogranicza się jednostkę, która nie chce być ograniczana. Tym bardziej, kiedy ma zdolność wykreowania czegoś, co jest charakterystyczne. Na tym przecież polega działanie artystyczne. Miałem więc szczęście robić to, co chcę, ale było to jakoś dziwnie oceniane.

Czyli ta silna obecność na scenie muzyki chrześcijańskiej zaszkodziła pana karierze w muzycznym mainstreamie?
Oczywiście. Nawet bardzo. Do dziś płacę za to cenę. Wydawcy nie chcieli mnie wydawać, a radia nie chciały mnie grać z tego powodu, że niby zajmuję się działalnością religijną. A ja nie to miałem na myśli. Dla mnie człowiek składa się z ciała i duszy, dlatego trzeba opowiadać o obu tych sferach. I tak się starałem. Muzyka była ciałem, a słowa były duszą.

Kiedyś powiedział pan: „Bóg sprawia, że jestem lepszym artystą". Jak to działa?
Jeżeli szukasz czegoś, co jest od ciebie większe w sensie dobra, piękna i prawdy, to poszerzasz swoją świadomość i starasz się być lepszy niż jesteś. Ma to bezpośredni wpływ na to, co robisz. Skoro zmiana świata ma zaczynać się od zmiany siebie, być może to jest właśnie najlepsza droga. Zwracając się ku Bogu, rozwijasz zarówno ciało, jak i duszę, pasiesz całego człowieka. To nie jest nic odkrywczego. Robiło to wielu artystów przede mną. Cała historia muzyki, literatury, architektury, malarstwa, rzeźby jest pełna twórców, którzy inspirowali się duchowymi rzeczami. Albo którzy mieli za to zapłacone. (śmiech)

W jednym z wywiadów wyznał pan: „Chciałem niegdyś wycofać się z zawodu. Uznałem, że będę zarabiał na życie w inny sposób". Z czego to wynikało?
Z tego, że przez całe swoje życie mam problemy z wydaniem każdej płyty. Trzeba więc mieć końskie zdrowie, by się uprzeć i ciągnąć to ponad czterdzieści lat. W pewnym momencie musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy właśnie po to zostałem wymyślony. Wydawcy i radiowcy są zblazowaną publicznością, mają za dużo muzyki i własne gusta. Tymczasem artyści tworzą dla ludzi, którzy naprawdę tego potrzebują. Publikatory jednak tego nie wiedzą, bo tego nie badają. Dlatego jest wielu wspaniałych wykonawców, którzy borykają się z takimi samymi problemami jak ja.

Ponoć to Irena Santor odwiodła pana od zamiaru porzucenia zawodu. Jak to się stało?
Powiedziała, że sobie nie życzy, abym zrezygnował ze śpiewania, bo na moje miejsce wyrośnie dziesięć chwastów. (śmiech) Dodała przy tym coś, co mnie najbardziej przekonało: że kiedyś na czele każdej redakcji muzycznej stali ludzie, którzy byli muzykami, a dziś przeważnie są to biznesmeni, którzy traktują ją jak prywatny folwark. Kierują się własnym widzimisię, zamiast dawać możliwość wyboru publiczności. „Są wśród nich ludzie, którzy nie mają pojęcia, co pan robi. Nie mają nawet narzędzi, by ocenić to, jak pan śpiewa. Ich to nie interesuje i nie mają takiej wiedzy" – powiedziała mi. Pomyślałem wtedy: „Czy zostałem do tego wymyślony i to jest moje zadanie?". Bo przecież każdy z ludzi ma zadanie życiowe i powinien to odkryć. I po namyśle stwierdziłem: „Tak. To jest moje zadanie. I żeby skały sikały, będę to robił bez względu na powodzenie, popularność i ilość pieniędzy na koncie".

Nigdy nie myślał pan, żeby nagiąć się do wymagań i trendów rynku, żeby lepiej się panu powodziło?
Patrząc na gusta publikatorów, to nie bardzo. (śmiech)

Dzisiaj tyle samo radości co muzyka daje panu sadownictwo. Jak pan odkrył tę pasję?
To właściwie nie sadownictwo, a dendrologia. Drzewa są bowiem dla mnie niezwykłym wykwitem przyrody. To dla mnie metafora tego związku między ciałem a duszą. Bo jeśli zasiejesz małe ziarno, a po 25 latach wyrośnie ci według własnego widzimisię wielki „potwór", to czujesz się do niego przywiązany, jest dla ciebie jak twoje dziecko. U mnie z pustego pola powstał ogród pełen drzew, który wygląda jakby taki był zawsze. Kiedyś powiedziałem do przyjaciół, zapraszając ich na urodziny: „Nie przywoźcie drogich i niedrogich pierdół, tylko sadzonki drzew. Posadzimy je i będziemy mieli wieczną pamiątkę". I tak się też stało.

Co daje panu takie bliskie obcowanie z naturą?
To samo, co obcowanie z afroamerykańskim chórem, kiedy razem ćwiczymy, nagrywamy czy dajemy koncert w Los Angeles. Albo kiedy idziemy razem poucztować i zjeść coś w knajpie o barwnej nazwie „Dirty South". To dla mnie wielki przywilej i przygoda. Tak samo jest z moim ogrodem. Te drzewa i krzewy, którymi opiekuję się już 25 lat, są dla mnie jak rodzina. Kiedy gdzieś wyjeżdżam, to za nimi tęsknię. A gdy wracam, gadam z nimi i ustalam różne rzeczy. (śmiech)

Kiedy w zeszłym roku pojawił się pan w Opolu, aby odsłonić swą gwiazdę w Alei Gwiazd, wszyscy byli zachwyceni, że tak świetnie pan wygląda. To zasługa pracy w sadzie?
Bezwzględnie. Udało mi się zbić wagę, bo niegdyś trochę się zapuściłem. Jestem dwudziestoletnim cukrzykiem i zrobiłem to więc przede wszystkim dla zdrowia. Ale widzę, że przełożyło się to na inspirację dla innych.

Nie założył pan rodziny. Nie czuje się pan czasem samotny na tej swej posiadłości?
Nie. Moi roślinni towarzysze są dla mnie tak samo ważni, jak towarzysze ludzcy i zwierzęcy. Ktoś, kto ma sad czy ogród, wie, o co chodzi. Jestem człowiekiem, który nie czuje różnicy między różnymi przejawami życia, między człowiekiem a zwierzęciem czy rośliną. Nie trzeba przecież zawsze rozmawiać słowami. Wystarczy spojrzeć sobie w oczy. A ja wierzę, że drzewa też mają oczy.

Kiedyś zadeklarował pan: „Dopóki oddycham, będę śpiewać". Zamierza pan dotrzymać tej obietnicy?
Oczywiście. Na pewno będę zawsze śpiewał dla siebie. Bo jak będzie marnie, to nie będę tego upubliczniał. (śmiech) Ale tak na serio: śpiew to moja życiowa pasja, coś jak oddychanie. Kocham to – i pewnie będę to robił, podobnie jak uprawiał ogród i malował obrazy, dopóki pozwoli mi na to ciało, czyli nasza marna skorupka.

eprasa.pl ffca6fe78e



FOT. PIOTR LAMPKOWSKI



FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Tak wyglądała 22 maja Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu. Na zdjęciach: symulacja posiedzenia aresztowego przygotowana przez studentów, liczna publiczność (a wśród niej też wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha)

SĄDY OTWARTE NA ŚWIAT RAZ W ROKU. A NA CO DZIEŃ?

Raz w roku odbywa się Noc Otwartych Sądów. Wtedy, od święta, polskie sądy autentycznie otwierają się na świat – zapraszają na zwiedzanie zakamarków, rozmaite symulacje rozpraw i wtajemniczają w swoje procedury. A jaka jest codzienność? Proza życia tak sympatyczna już nie jest...

Małgorzata Oberlan

Tuż przed Dniem Wymiaru Sprawiedliwości, 22 maja, polskie sądy chętnie otwierają swoje budynki dla lokalnych społeczności. W tym roku w tej bezsprzecznie cennej akcji wzięła udział w Polsce już setka sądów – także w Kujawsko-Pomorskiem.

Cel jest jeden – pokazać starszym i młodszym sądownictwo od środka. Sądy zapraszając serdecznie zarówno do poznawania budynków z ich ciekawą zazwyczaj historią (wiele z nich to zabytki), jak i funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Po raz kolejny w tym roku udało się to zrobić w sposób atrakcyjny, przyciągając choćby na symulacje rozpraw i procesów – dostosowane do wieku gości – setki osób w kraju.

22 maja w sądach każdy witany jest serdecznie, panuje pełna otwartość, gościnność. Zaplanowane symulacje rozpraw startują punktualnie i toczą się sprawnie. Można zadawać pytania pracownikom sądownictwa i liczyć na fachowe i życzliwe odpowiedzi.

A jaka jest sądowa proza życia z punktu widzenia zwykłego obywatela? Niestety, ale zdecydowanie już nie taka sympatyczna...

Przychodzi obserwator do sądu i co widzi?

Fundacja Court Watch Polska rodem z Torunia od kilkunastu już lat nieprzerwanie prowadzi Obywatelski Monitoring Sądów. To już grube tysiące obserwacji i relacji. W rolę obserwatorów najczęściej wchodzą studenci – zawsze profesjonalnie przeszkoleni i przygotowani. Monitoring patrzy na rzeczy najprostsze, zdawałoby się, ale niezwykle ważne z punktu widzenia zwykłego człowieka. Czy rozprawy zaczynają się punktualnie? Czy są jawne dla publiczności? Czy sędziowie są uprzejmi i pomocni? Czy osoby z niepełnosprawnościami mają w sądzie problemy? Czy wyrok ogłaszany jest terminowo, a orzeczenie jest dla zwykłego człowieka zrozumiałe? To tylko przykłady obszarów, które obserwatorzy w sądach w różnych regionach Polski monitorują od lat, a potem raportują fundacji w ustandaryzowanych formularzach.

I choć z roku na rok przybywa pozytywnych obserwacji (naprawdę!), to pozostają wciąż widoczne grzechy. Ot, choćby punktualność – to pięta achillesowa Temidy. Jak wynika z ostatniego okresu monitorowania (od 1 czerwca 2025 r. do 1 czerwca br.) tylko 50 proc. rozpraw sądowych zaczyna się punktualnie. Wyjaśnienia lub przeprosiny za opóźnienie? Padają zaledwie w 25 proc. przypadków.

Terminowe ogłoszenie wyroku, zawsze tak wyczekiwanego przez zwykłego człowieka? W 13 proc. moment ten jest odraczany. Lepiej jednak jest już obecnie z jego przekazem. W 98 proc. przypadków (880 obserwacji) wyjaśnienie orzeczenia było przekonujące, a w 97 proc. – jego uzasadnienie zrozumiałe dla wszystkich (868 obserwacji).

Nieuprzejmość i arogancja sędziego?

Noc Otwartych Sądów oznacza gościnność i serdeczność dla gości. Ale codzienność na salach sądowych jest zdecydowanie trudniejsza. Przez kilkanaście lat prowadzenia Obywatelskiego Monitoringu Sądów obserwatorzy raportowali takie przypadki wielokrotnie.

„Postawa sędziego nie wzbudzała zaufania, zwracał się on do stron w sposób nieuprzejmy. Co prawda pozwolił on stronom na wypowiedzenie swoich stanowisk, jednak wypowiadane przez niego wtrącenia były niekulturalne i miejscami lekceważące. (...) Postawa sędziego sprawiła, że po zakończeniu rozprawy byłam oburzona postępowaniem sędziego. Jego lekceważący oraz arogancki stosunek do uczestników rozprawy był nie na miejscu. Powinien on zachować neutralność i zachowywać się w sposób kulturalny oraz godny poszanowania". (Obserwacja w SO Płock, Wydział V Karny, 12.08.2022).

„Sędzia, dowiedziawszy się o mojej obecności, przerwała rozprawę, robiąc kilkuminutową przerwę. Mecenas (...) odmówiła udziału mojej osoby w rozprawie, naciskając sędzię na odrzucenie mojego udziału w sprawie. Po przerwie sędzia, powołując się na m.in. 90 kpk, dwukrotnie krzycząc na mnie, wyprosiła mnie z sali. Podczas moich dotychczasowych obserwacji nie spotkałam się z takim potraktowaniem. Jestem zażenowana całą sytuacją, a podkreślę, że byłam tam w roli osoby zaufania publicznego, nie w roli którejś ze stron postępowania – przy takiej sędzi i „górującej" mecenas współczuję oskarżonemu, który pozostał na sali sam, bez wsparcia. Fundacja jest wsparciem, którego odmówiono oskarżonemu na starcie" (SR Zielona Góra, Wydział II Karny, 5.07.2023).

„Początkowo sąd, w mojej subiektywnej ocenie dość agresywnie i często przerywał oskarżonej w jej wyjaśnieniach. Wyraźnie okazywał zniecierpliwienie, podnosił zauważalnie głos, łapał się za głowę, przewracał oczami w odpowiedzi na wyjaśnienia oskarżonej. Kilka cytatów: „to niech pani skleci takie zdanie, żeby dało się to zapisać", „co pan [...] zeznał, to sąd ma w aktach, pani mówi, jak było", „ale co!?! (...) bo pani nawet nie kończy zdania!", „z czego!?!", „ja pani zadaję pytanie, pani mówi zupełnie o czym innym". Wszystko to w połączeniu z, w mojej wyłącznie ocenie, dość lekceważącą gestykulacją. Sąd nie był zbyt wyrozumiały dla zdenerwowanej oskarżonej. W końcu oskarżona się rozpłakała... Od tamtego momentu sąd zupełnie zmienił swoje podejście. Był cierpliwy, nie podnosił już głosu. Uprzejmie prosił o wyjaśnienie, gdy oskarżona odpowiadała w sposób nieuporządkowany. Szkoda, że oskarżona musiała się rozpłakać, żeby zrobiło się na tyle, na ile to możliwe, przyjemniej" (SO Warszawa, Wydział XII Karny, 14.04.2023).

To tylko trzy przykłady i to z jednego raportu (obserwacje z okresu 2022-2023 r.) – podobnych było przez lata, niestety, o wiele więcej. Uczciwie jednak trzeba podkreślić, że raporty Obywatelskiego Monitoringu Sądów zawierają też liczne pozytywne obserwacje

eprasa.pl ffca6fe78e

dotyczące sędziów: życzliwych, kulturalnych, wyrozumiałych, a co najważniejsze – profesjonalnych.

Mimo wszystko w cytowanym tutaj raporcie jego autorzy odnotować musieli, że: „Sporo relacji obserwatorów odnosi się do braku odpowiedniego przygotowania sędziów, na co wskazuje pospieszne przeglądanie akt dopiero na sali sądowej, zadawanie pytań wskazujących na niewystarczające rozeznanie w prowadzonej sprawie czy odraczanie jej do czasu zapoznania się z kluczowymi informacjami, co w ocenie publiczności może być poczytywane jako brak profesjonalizmu i szacunku dla stron, które musiały danego dnia stawić się w sądzie. Rzecz jasna, niekiedy opinia wolontariuszy może wynikać z subiektywnych odczuć, niemniej z pewnością obniża ich zaufanie do sądów. Sarkastyczne uwagi, podnoszenie głosu czy nieodpowiedni ton, jakim sąd zwraca się do zebranych, świadczą natomiast o niskiej kulturze osobistej lub rażącej nieumiejętności zapanowania nad emocjami i zasługują na potępienie”.



FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Noc Otwartych Sądów w Sądzie Okręgowym w Toruniu

Połowa Polaków nie ufa sądom. I chodzi nie tylko o politykę

Zaufanie przeciętnego Polaka do wymiaru sprawiedliwości spadło do poziomu alarmującego. Trudno, żeby było inaczej, skoro pewne jego zmory ciągną się od lat – choćby przewlekłość postępowań – a kolejne ekipy rządzące zamiast skutecznie reformować system, pogłębiają tylko chaos.

Tak to odbiera przeciętny Kowalski czy Nowak, dla którego polityczne boje w sądownictwie już dawno stały się niezrozumiałe. Napięcia, podchody i jawne bitwy o kształt jego poszczególnych izb oraz status sędziów (neo- i „prawdziwych”) niespecjalnie go interesują. W sądzie chce zazwyczaj, by jego życiowa sprawa (rozwód, kredyt frankowy, podział majątku etc.) potoczyła się sprawnie.

36,1 proc. – tyle zaledwie rodaków jesienią ub. roku zadeklarowało zaufanie do sądów (sondaż IBRiS dla Rzeczpospolitej). I był to rekordowo niski odsetek. Respondentów „zdecydowanie ufających” było tylko nieco ponad 2 procent.

– W ubiegłym roku odpowiedziało w ten sposób 5,3 proc. respondentów, nie wspominając już o tym, że w 2016 r. Temidzie zdecydowanie ufało 12,9 proc. Polaków. Jednocześnie w ciągu ostatniego roku aż o 10,1 pkt proc. wzrósł odsetek osób, które sądom zdecydowanie nie ufają (z 13 proc. do 23,1 proc.) – podkreślili autorzy raportu. Eksperci natomiast od razu na tę „czerwoną kartkę dla sądownictwa” zareagowali komentarzami o tym, że na odczucia badanych mógł mieć wpływ fakt, że wymiar sprawiedliwości znajduje się w centrum politycznego sporu. Zapewne tak było i jest, ale czy faktycznie to całkowicie tłumaczy tak dramatyczny spadek zaufania do Temidy?

Stosunek Polaków do sądownictwa regularnie bada też CBOS. Z sondażu ostatniego (raport z 2 kwietnia br.) wynika, że w porównaniu z wcześniejszym badaniem pracowni – z września ub. r. – wzrósł odsetek osób, które pozytywnie oceniają działalność sądów. Leciutko chociaż zatem powiało optymizmem…

Funkcjonowanie sądów dobrze oceniło 30 proc. respondentów CBOS, co stanowi wzrost o 5 pkt proc. względem wrześniowego badania. Złe zdanie na temat ich działania miało 47 proc. badanych (spadek o 1 pkt proc.), zaś odpowiedzi „trudno powiedzieć” udzieliło 24 proc. ankietowanych.

Media i Temida. Sądy rejonowe rzeczników prasowych nie mają…

Jawność i otwartość działań sądów na co dzień mają też okazję testować dziennikarze i wszyscy zainteresowani mediaworkerzy. Łatwiej im pozyskiwać i przekazywać opinii publicznej informacje z sądów okręgowych niż rejonowych, a tymczasem to tych drugich jest więcej i są one bliższe lokalnym społecznościom.

Dlaczego tak jest? Tylko sądy okręgowe mają rzeczników prasowych (czasem także z asystentami). W sądach rejonowych takich stanowisk i etatów nie ma. Zadania rzeczników w całym kraju powierzono w „rejonach” prezesom tychże sądów; ewentualnie wyznaczonym przez nich wiceprezesom.

Co to oznacza w praktyce? To, że po najprostszą informację typu „kiedy wyznaczono rozpoczęcie procesu pana X.” można w przypadku sądu okręgowego zwrócić się telefonicznie lub mailowo do rzecznika i najczęściej szybko ją uzyskać. Ta sama krótka informacja z sądu rejonowego może iść do dziennikarza przez kilka-kilkanaście dni. Bywa, że gdy wreszcie nadejdzie, staje się już nieprzydatna (proces ruszył).

Na przykładzie Torunia i jego regulaminu udostępniania mediom informacji wygląda to tak. Za każdym razem wnioskując o informację, dziennikarz pisze maila, załączając skan legitymacji prasowej. Potem czeka na odpowiedź. Jeśli przyjdzie niewyczerpująca, prośbę o doprecyzowanie pisze mailem (załączając znów skan legitymacji). Potem czeka. I tak dalej. Podobnie sytuacja wygląda w wielu innych miejscowościach. A samo wejście na rozprawę? W „okręgu” dziennikarz zazwyczaj nie musi się anonsować. Ochronie pokazuje legitymację i informuje, jaka rozprawa go do sądu przywiodła. Potem na sali sędzia decyduje czy zezwala na rejestracje obrazu, dźwięku etc. A w „rejonie”? Procedury konkretne. „Jeśli dziennikarz chce złożyć wniosek o rejestrację przebiegu rozprawy przed terminem rozprawy, winien go złożyć na piśmie wraz z kopią ważnej legitymacji dziennikarskiej lub zaświadczeniem wystawionym przez redakcję, potwierdzającym, że dana osoba zajmuje się przygotowywaniem materiałów prasowych. Wniosek winien zawierać uzasadnienie. W uzasadnieniu należy umotywować wniosek. Ponadto należy wskazać sposób rejestracji i przedmiot rejestracji. Wniosek taki winien wpłynąć do sądu najpóźniej z chwilą sprawdzenia obecności, po wywołaniu rozprawy, co wynika z art. 381 kpk. Adresatem wniosku jest sąd w znaczeniu składu orzekającego, który orzeka w danej sprawie. Decyzja sądu w formie postanowienia nie jest zaskarżalna” – głosi regulamin wspominanego już SR Toruń. ©℗

OBYWATELSKI MONITORING SĄDÓW

W ciągu kilkunastu lat działania Fundacji Court Watch Polska już kilka tysięcy wolontariuszy wzięło udział w charakterze niezależnej publiczności w ponad 40 000 rozpraw sądowych – w różnych rejonach kraju.
Court Watch Polska rekrutuje i szkoli osoby, które chciałyby prowadzić obserwacje rozpraw w sposób systematyczny. Uczestnicy takich programów są wyposażeni w formularze, dzięki którym mogą przekazywać swoje obserwacje do celów analitycznych oraz zgłaszać uwagi dotyczące pracy obserwowanego sądu.
Fundacja udostępnia narzędzia do tego, aby wykonując samemu niewielki odcinek pracy, dokładać swoją cegiełkę do ogólnopolskiego programu badania praktyki sądowej. Dzięki rozwojowi własnego systemu informatycznego zbiera dane od wolontariuszy z całej Polski za pośrednictwem Internetu. Obserwacje są wykorzystywane do przygotowywania sprawozdań i analiz, które są następnie udostępniane sądom oraz opinii publicznej.
(Więcej na: www.courtwach.pl i profilu facebookowym pod nazwą fundacji).



FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

W oczekiwaniu na posiedzenie aresztowe – symulacja


FOT. PIOTR LAMPKOWSKI

Biuro Obsługi Interesantów przeniesione w czasie do PRL-u

eprasa.pl ffca6fe78e

Polska
Poniedziałek, 8.06.2026

Marielle – dziewczynka z Filipin i jej polska rodzina z Sieradza

Hanna Świtkowska, znana i ceniona w Sieradzu lekarka, adoptowała na „odległość" dziewczynkę z Filipin, którą zobaczyła dopiero po kilkunastu latach

Dariusz Piekarczyk



ARCHIWUM RODZINY ŚWITKOWSKICH

Hanna i Tadeusz Świtkowscy ze swoją „córką" z Filipin Marielle (druga od lewej) i jej siostrą

Adoptować dziecko - łatwo powiedzieć. Ale żeby zrobić to na odległość wielu tysięcy kilometrów i na dodatek z kraju na innym kontynencie i o innej kulturze. Do tego trzeba nie tylko odwagi, ale także samozaparcia i wiary w swą decyzję. Hanna Świtkowska, znana, lubiana i ceniona sieradzka lekarka kilkanaście lat temu zdecydowała się na taki krok i jak dziś mówi, zrobiłaby to raz jeszcze. Co więcej, jedna z jej córek zamierza zrobić to samo. Sieradzka rodzina dopiero niedawno po raz pierwszy zobaczyła swoją „córkę" z Filipin.



ARCHIWUM RODZINY ŚWITKOWSKICH

Hanna Świtkowska i wesołe siostry szarytki z Filipin



ARCHIWUM RODZINY ŚWITKOWSKICH

Furta klasztorna do filipińskich sióstr urszulanek

Marielle - filipińska „córka" sieradzan

Jak to się zaczęło z tą adopcją – zastanawia się Hanna Świtkowska. – Jak to się mówi, zmówiliśmy się. Często bywam w naszym sieradzkim klasztorze sióstr urszulanek. Jedna z sióstr wspomniała o adopcji na odległość dziecka z Filipin. Dlaczego akurat tam? Urszulanki mają właśnie w tym kraju swoją placówkę i to one wymyśliły taką akcję. Siostry, a zwłaszcza zakonnica Alina, opowiedziały o akcji. Ten klasztor nie jest mi obcy, bo od wielu lat śpiewam tam w chórze i właśnie podczas jeden z prób zaczął się ten temat. Przekazałam to moim córką. Jedna z nich Sylwia mówi - mamuś koniecznie, nawet się nie zastanawiaj, nie ma o czym mówić. Powiedziałam dwóm córkom, że jak nas z mężem zabraknie, to mają akcję kontynuować. Przyjęły to z entuzjazmem. To było jakieś 11 lub 12 lat temu.

– Jak już zapadła decyzja w sprawie adopcji, siostry same nam wybrały „córkę" – dodaje Tadeusz Świtkowski, mąż Hanny. – Po raz pierwszy zobaczyliśmy Marielle na zdjęciu. To był świadomy wybór, bo one tam doskonale znają tamtejsze środowisko, przecież są, posługują, od wielu lat. Adopcja polega na wpłacaniu pieniędzy i zaskoczę pana, nie są to wcale, jak na nasze polskie warunki, duże kwoty. Dla nich, to dużo. Najważniejsze, żeby wpłacać pieniądze regularnie. To podstawa. Pieniądze przez nas wpłacane idą głównie na zapewnienia nauki naszej adoptowanej córce. Siostry z tych pieniędzy opłacają szkołę, kupują przybory szkolne. Dodam, że to akcja urszulanek jest na całym świecie, nie tylko na Filipinach. Trudno nawet powiedzieć, jaki ma zasięg.

– Pyta pan, czy nie mieliśmy wątpliwości na co nasze pieniądze idą". – Nie – mówi z pełną świadomością pani Hanna. – Dlatego, że ufamy naszym urszulankom. Zdarzało się jednak, że któraś z koleżanek, zwłaszcza przed naszym wyjazdem na Filipiny zażartowała, że pojedziemy, a tam nikogo nie będzie.

Filipińskie urszulanki pod batutą Polki

Misje urszulańskie na Filipinach będą świętować w przyszłym roku 25 lecie swojej obecności. Pracę na Filipinach - w Tagaytay, 65 km na południu od Manili, podjęły w 2002 roku. Pojechały tam wtedy trzy siostry Włoszka, Brazylijka i Polka. Od 2005 roku siostry zaangażowały się w „adopcję na odległość". To pomoc dla dzieci, które powinny chodzić do szkoły, a ich rodziny ze względu na biedę i inne trudności życiowe nie mogą zapewnić warunków do nauki i godziwego życia. W 2012 roku została otwarta nowa wspólnota w Pangil-Amadeo, oddalona od Tagaytay o 20 km. Obecnie wspólnota urszulańska na Filipinach liczy osiem osób: trzy siostry zakonne, pięć młodych Filipinek, z których cztery to postulantki i jedna kandydatka do zgromadzenia zakonnego. Kieruje nią Polka Wioletta Sobiesiak.

Na Filipinach urszulanki wspierają także projekt pomocy żywnościowej, w dzięki któremu wsparcie otrzymuje około 500 osób, w tym co najmniej 150 dzieci mieszkających na wysypisku śmieci w pobliżu miast Trece Martires i Tanza, a także 500 niedożywionych dzieci z parafii pw. św. Jana Pawła II w Tanza. Jednak pomoc nie ogranicza się tylko do rozdawania żywności. Mówi s. Wioletta Sobiesiak, koordynatorka projektu na Filipinach: - Raz lub dwa razy w miesiącu siostry rozwożą mleko w proszku dla najmniejszych i najbardziej potrzebujących dzieci, a dystrybucja odbywa się w kaplicach należących do parafii. Każde dziecko otrzymuje kilogram mleka. Jest ono tu rarytasem, do tego bardzo drogim. Obecnie pomagamy około tysiącu dzieciom. W ramach projektu zakupiliśmy również maszynę do szycia, którą obsługują cztery osoby szyjąc głównie maty.

Oczywiście urszulanki nie zaniedbują szeroko zakrojonej działalności misyjnej. Około 90 procent Filipińczyków jest ochrzczonych. Kościoły pełne są w każdą niedzielę. W większości domów, ale też sklepów znajdują się święte figurki.

Spełniony sen sieradzanki

Marzenisem pani Hanny był wyjazd na Filipiny i zobaczenie Marielle. – Ale to koniec świata, więc nie myślałam, że marzenie się spełni, nie to nie realne - mówi. Okazuje się jednak, iż to marzenie może się spełnić.

– Mój mieszkający w Rzeszowie brat jest podróżnikiem – kontynuuje swoją opowieść pani Hanna. – Często wyjeżdża. On czasami zabiera nas z mężem na wyjazdy. Brat wiedział o Marielle. I proszę sobie wyobrazić, że rozpisał nam co dnia i godziny wyjazd i to aż na dwa tygodnie. Ale gdzie tam dwa tygodnie, jak tu przychodnię lekarską zostawić. Nie, nie i jeszcze raz nie. Ale tak nas nakręcił, że się zgodziłam. Powiedziałam matce przełożonej z naszego klasztoru Annie Papierz, że chcemy zobaczyć Marielle. Ona nam zdobyła adres mailiowy sióstr w Filipin i z nimi już się dalej kontaktowałam. Zresztą reakcja była od razy, odpowiedź, że serdecznie zapraszają i czekają.

– Samo spotkanie? – Zacznę może tak, wszyscy byli wzruszeni, wręcz oczarowani. Dla nas i dla sióstr było to wszystko poruszające. Było widać, że zakonnice cieszą się ze spotkania. Dom sióstr skromny, ale zadbany. Tam też zobaczyliśmy po raz pierwszy Marielle i jej siostrę. Zaniemówiłam, ona chyba też, byłyśmy bardzo wzruszone. Nasza „córka" chodzi do prywatnej szkoły. Wzięła z sobą także świadectwo ze szkoły. Uczy się dobrze, stara się, docenia naszą pomoc. Mamy nadzieję, że na tym nie poprzestanie, że będzie się dalej uczyć i wyrwie się dzięki temu z biedy. Bez naszej pomocy nie miałaby na to najmniejszych szans. Ja do dziś jestem w szoku po tym wszystkim. Jej rodzice pracują, widzieliśmy zresztą ich na zdjęciu, ale pewnie zarabiają marne grosze. Nadal mi się wydaje, że to sen.

Ogromne wrażenie na naszych rozmówcach zrobiły mieszkania na wysypisku śmieci, bo i tam mieli okazję pojechać. – Oni miesięcznie zarabiają tam jakieś 30 złotych – mówi Tadeusz Świtkowski. – To wystarcza na opłacenie prądu, wody.

Wolontariat na Filipinach

Moi rozmówcy wcale nie wykluczają, że nie pojawią się jeszcze na Filipinach. – Siostra po wielokroć nas zapraszała – mówi pani Hanna. – Przyjedźcie do nas znów, zapłacicie jedynie podróż – mówiła matka przełożona. – Nocleg, pobyt macie za darmo. Pani jest lekarzem, to coś tam nam pomoże. Miejsce do spania jest, do plaży niedaleko, zachęcam.

Zakonnica mówiła także, że przyjeżdżają do nich z Polski wolontariusze, pomagający im w różnoraki sposób. – Jakiś czas temu pojawił się pan i stwierdził, że chce komuś wybudować dom, a raczej domek. Nie jakiś wielki, ale taki ot prosty dla rodziny. Kupił potrzebne materiały i dopiął swego.

– Gdyby nie trzymała mnie praca w Sieradzu, to chętnie pojechałabym tam na wolontariat – podsumowuje spotkanie nasza rozmówczyni. – Mogłabym tak spokojnie być i pomagać, a już nasza córka Sylwia, to ona pewnie by się tam wyprowadziła. Pracuje z niepełnosprawnymi dziećmi, kocha je. Ona by się tam odnalazła.

Pani Hanna

Sieradz nie jest wielkim miastem. Osoby, które są tu od lat znają się. Nasza rozmówczyni jest lekarką, więc tym bardziej jest rozpoznawalna. Na dodatek śpiewa w klasztornym chórze prowadzonym przez siostrę Alinę Kulik. Przez pacjentów jest uwielbiana - głównie za ciepło, spokój oraz takie matczyne podejście. Adopcja z Filipin - jeśli nie ona, to kto?

eprasa.pl ffca6fe78e

RAMÓN MERCADER, KOMUNISTA Z CZEKANEM

8 czerwca 1961 r., 65 lat temu, tow. Ramón Mercader otrzymał Moskwie tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Do tytułu dorzucono mu także Order Lenina, oficjalnie za wkład w budowę Ojczyzny Światowego Proletariatu. Jednak wiadomo było powszechnie, że Mercadera uhonorowano – osiem lat po śmierci Stalina – za krwawy mord na Lwie Trockim

Mariusz Grabowski

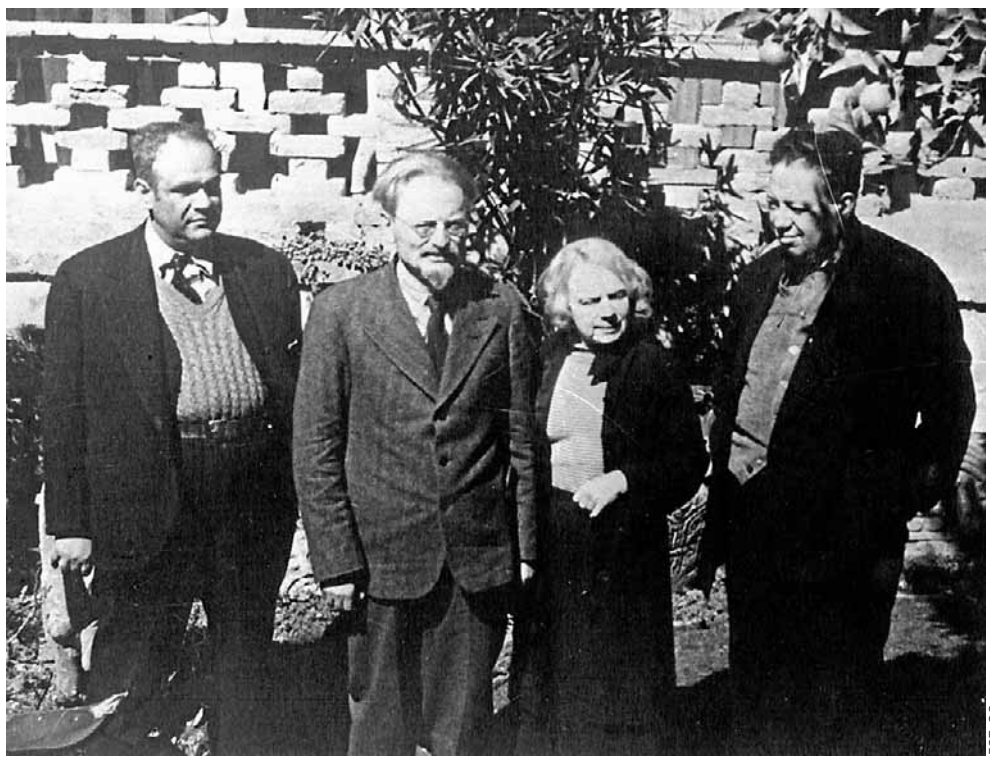

FOT. CC

Ramón Marcader (pierwszy z prawej) z Lwem Trockim (drugi z lewej) w Meksyku. 1940 r.

Kluczową postacią w tej opowieści nie jest Mercader, hiszpański komunista, który pod koniec hiszpańskiej wojny domowej wyjechał do Paryża, gdzie został zwerbowany przez oficera Leonida Eitingona, oficera sowieckiego wywiadu, lecz Lew Trocki, komunistyczny ideolog-rewolucjonista, współtwórca Rosji Radzieckiej i początkowo jeden z jej czołowych przywódców.

Po śmierci Lenina w 1924 r. Trocki, ze swą koncepcją tzw. „rewolucji permanentnej", zakładającej niesienie zarzewia komunizmu na cały świat, popadł w ostry konflikt z Józefem Stalinem. W 1926 r. Trockiego usunięto go z Biura Politycznego, a w listopadzie 1927, po próbie zorganizowania bloku wraz z Zinowjewem i Kamieniewem i demonstracjach zwolenników w dniu 7 listopada 1927, został usunięty z WKP(b).

Przeżył, ale dwa lata później został wydalony z terenu ZSRR oraz pozbawiony obywatelstwa. Początkowo przebywał na emigracji w Turcji, która jako jedyna zgodziła się go przyjąć, a następnie w Norwegii, Francji i wreszcie Meksyku. 9 stycznia 1937 r. Trocki przybył na nowy ląd na pokładzie tankowca „Ruth".

Ścigany

Częste zmiany miejsca pobytu miały zmylić sowieckich agentów, lecz ci i tak go odnaleźli. W Związku Sowieckim, po pokazowym, zaocznym procesie, został skazany na karę śmierci.

Dowodami, że Stalin o nim nie zapomniał, były tajemnicze śmierci członków jego rodziny. 16 lutego 1938 r., po operacji w klinice w Paryżu zmarł syn Trockiego, Lew Siedow, w niejasnych okolicznościach. Prawdopodobnie został skrytobójczo zamordowany przez agentów NKWD. Potem w podobny sposób zginęła właściwie cała familia Trockiego, oprócz jego partnerki życiowej, Natalii Siedowej, i wnuka.

Od 1930 r. przynajmniej trzykrotnie radzieckie służby bezpieczeństwa usiłowały pozbawić trockiego go życia - pozorując pożar jego willi na wyspie Prinkipo w Turcji, a następnie domu pod Paryżem oraz organizując zmasowany atak z użyciem broni maszynowej na jego dom w Meksyku w maju 1940 r.

Romanse i króliki

W Meksyku Trocki zmieniał adresy kilkakrotnie, ale zawsze w obrębie mieszkał zielonej dzielnicy Coyoacán w Mexico City. Szukał nowych zwolenników, a jego siedziby stawały się miejscem spotkań dla komunistów z całej Ameryki. W tym czasie nawiązał także głośny romans z malarką-komunistką Fridą Kahlo. Przy patronacie jej męża, Diego Rivery. Od 1927 r. oboje należeli do Meksykańskiej Partii Komunistycznej.

Trocki, gdy nie pisał kolejnych komunistycznych manifestów, hodował króliki. Patrząc wówczas na tego sympatycznego okularnika z inteligencką bródką trudno było widzieć w nim zagorzałego rywala Stalina w dziedzinie uszczęśliwienia świata ideą komunistyczną. W pracy „Trzy koncepcje rewolucji rosyjskiej", która stanowi aneks do ostatniej, niedokończonej książki „Stalin" z 1940 roku, Trocki oskarża np. Stalina o wprowadzenie nadmiernej, niszczącej biurokracji i zahamowanie, a wręcz cofnięcie procesu przemian.

Wspomniany napad na jego dom w maju 1940 r. też miał miejsce w Coyoacán. Wczesnym rankiem grupa 20 ludzi wtargnęła do otoczonej murem willi Trockiego, aby wykonać wyrok śmierci. Ostrzelali dom, ale zostali zmuszeni do wycofania się przez ochronę Trockiego, złożoną głównie z młodych, zwerbowanych przez Trockiego fanatycznych komunistów.

Po ataku domostwo przekształcono był w prawdziwą twierdzę: małe okna podbite były od spodu belkami, aby nie dało się z zewnątrz zobaczyć domowników. Przez grube ściany prowadziły niewielkie, żelazne drzwi, przypominając wejście do bunkra. Dom otoczony był murem z wieżą strażniczą.

Za stołem z Trockim

Zostawmy na chwilę tow. Trockiego mozolącego się nad krytyką stalinizmu i zobaczmy co słychać u Ramóna Mercadera. W 1938 r. W 1938 r. w Paryżu Leonid Eitingon oddał go pod opiekę innemu szpiegowi - Markowi Zborowskiemu, który od pewnego czasu działał w środowisku tamtejszych trockistów. To właśnie Zborowski poznał Mercadera z Silvią Ageloff - późniejszą sekretarką Lwa Trockiego.

Na polecenie NKWD Mercader wyjechał najpierw do Nowego Jorku, a następnie do Meksyku. Posługiwał się otrzymanym fałszywym paszportem obywatela Kanady, Franka Jacksona. Szybko został przedstawiony Trockiemu przez Ageloff jako jego kanadyjski zwolennik, po czym spotykał się z nim wielokrotnie, powoli zdobywając jego zaufanie.

Całą akcja była przygotowana bardzo misternie. Mercader udawał, że jest szaleńczo zakochany w Silvią, zamieszkali razem w Mexico City i bywali u Trockiego niemal co tydzień, przygotowując mu jego ulubione meksykańskie smakołyki. Ponoć najbardziej lubił quesadillas z kurczakiem i pieczarkami.

Stalin mruży oczy

Jednak 20 sierpnia 1940 r. Mercader przyszedł do willi Trockiego sam. W trakcie pogawędki uderzył naglea w tył głowy Trockiego czekanem, który przemycił pod płaszczem. Nie uciekał, dał się zatrzymać ochroniarzom.

Gdy funkcjonariusze policji wpadli do gabinetu, Mercader siedział spokojnie przy biurku Trockiego i przerzucał jego notatki do książki o Stalinie. Leżący na podłodze Trocki jeszcze żył. Zmarł w szpitalu Cruz Verde 26 godzin po zamachu. Na Kreml wiadomość dotarła już kilka godzin później - Stalin otworzył butelkę swego ulubionego wina Chwanczkara.

Pogrzeb Trockiego w Meksyku zgromadził 300 tys. osób. Po latach jego ostatnią rezydencję przekształcono w muzeum. W gabinecie Trockiego na biurku są jego okulary i gazeta z dnia 20 sierpnia 1940 r., na ścianach wiszą oryginalne dokumenty i pisma z lat 30., w gablotce wisi feralny czekan, zaś w ogrodzie znajduje się grób ideologa z symbolem sierpa i młota.

„Leżał na podłodze"

Lew Trocki nigdy nie został zrehabilitowany w ZSRR, jak wielu innych działaczy zamordowanych z rozkazu Stalina. Niemniej w latach 80. XX w. wydano pamiątkowy znaczek z jego postacią, a w 1987 r. zniesiono zakaz publikacji i posiadania jego książek.

16 czerwca 2023 r., w wieku 97 lat zmarł Esteban Volkov, wnuk Lwa Trockiego, ostatni świadek jego zabójstwa (był w domu gdy przyszedł Mercader). Volkov wspominał w 1999 r.: „(...) kiedy przechodziłem ogrodową ścieżką w kierunku domu, natknąłem się na mężczyznę z twarzą pokrytą krwią, którego nie od razu rozpoznałem, trzymanego przez dwóch policjantów. Mężczyzna, o którym przypuszczałem, że musi być tym Jacksonem, o którym mówił Harold, robił dużo hałasu, skarżąc i szlochając, co przechodziło w coś w rodzaju wycia. Był w kompletnej rozsypce. (...) Gdy wszedłem do biblioteki i zajrzałem przez uchylone drzwi jadalni, od razu zrozumiałem ogrom tragedii. Mój dziadek leżał na podłodze z raną głowy i w kałuży krwi, a Natalia z grupą towarzyszy stali wokół niego, przykładając lód do rany, aby zatamować krwawienie".

I dalej: „Spisek przebiegał etapami: Stalin, Beria, Leonid Eitingon, jego kochanka Caridad Mercader i jej syn Ramón Mercader (alias Jackson) to ludzie, którzy zamordowali twórcę Armii Czerwonej i towarzysza broni Lenina".

20 lat za kratami

Ramón Mercader został skazany na karę 20 lat pozbawienia wolności. „Stał beznamiętnie, gdy sędzia skazał go na dwadzieścia lat więzienia" - pisze Robert Service na kartach książki „„Trocki. Demon czerwonego terroru" - „Po wyroku okazał się zaś modelowym więźniem. Nikomu jednak nigdy nie wyjawił, na czyj rozkaz działał. Milczał nawet, gdy stało się wiadomym, że tak naprawdę nazywa się Ramón Mercader".

Pomimo starań o przedterminowe zwolnienie, odsiedział niemal cały wyrok. W więzieniu Mercaderowi zapewniano więcej niż godziwe warunki. W celi miał dywan, gniazdko elektryczne, a nawet prywatne radio. Od „tajemniczego dobroczyńcy" otrzymywał co miesiąc 100 dolarów. Zajmował się, za zgodą władz, naprawą elektroniki, dorabiając na tym dodatkowe pieniądze.

Opuścił więzienie 6 maja 1960 r. i natychmiast wyjechał na Kubę. Rok później został zaproszony wyjechał do ZSRR, gdzie został powitany z honorami i odznaczony najwyższymi odznaczeniem radzieckimi. Żył w luksusie. Jak dodaje Service „otrzymał powitanie godne bohatera, a także awans na generała KGB".

W aurze bohatera

Po śmierci pochowano go na moskiewskim Cmentarzu Kuncewskim, pod nazwiskiem Ramon Iwanowicz Lopez. Ale są inne wersje jego losów: nie odnalazłszy się w nowej rzeczywistości poprosił towarzyszy radzieckich o przeprowadzkę na Kubę. Zmarł w Hawanie 18 października 1978 r., przyczyną był rak płuc. Podobno przed śmiercią powiedział: „Zawsze to słyszę. Zawsze słyszę jego krzyk. Wiem, że czeka na mnie po drugiej stronie".

Na koniec fragment wspomnień Trockiego „Moje życie", które spisywał w 1929 r. na emigracji w Turcji, a które wyszły po polsku w 1930 r.: „Klasa robotnicza Rosji, pod kierownictwem bolszewików, uczyniła próbę przebudowania życia tak, aby wykluczyć możliwość perjodycznych ataków szału, przeżywanych przez ludzkość, i założyć podwaliny wyższej kultury. Na tem polega sens rewolucji Październikowej. Naturalnie, zadanie, które sobie postawiła, nie zostało wykonane: jednakże to zadanie z samej swej istoty obliczone jest na szereg dziesięcioleci. Więcej jeszcze, rewolucję Październikową uważać należy za punkt wyjścia najnowszej historji ludzkości wogóle".

eprasa.pl ffca6fe78e

Czekając na „Kobietę...", z żarliwą wiarą w jej odzyskanie

Szokujące znalezisko w jednym z holenderskich muzeów wywołało lawinę artykułów i komentarzy. Oto prawdopodobnie skradziony w 1974 roku z Gdańska obraz Pietera Brueghla Młodszego pojawił się w błysku fleszy na wystawie w Goudzie. Polskie służby i instytucje uruchomiły procedury

Andrzej Kowalski

Cele dla strony polskiej były dwa: odzyskać dzieło sztuki i wyjaśnić, jak doszło do kradzieży. Na razie, ponad rok od ujawnienia miejsca jego przechowywania, obraz nadal nie trafił do naszego kraju. Według informacji do których dotarł nieoficjalnie „Dziennik Bałtycki", obecni właściciele będą próbowali walczyć o to, aby obraz został w Holandii.

Tragedia na cmentarzu

Żeby dobrze zrozumieć, co dzieje się obecnie z „Kobietą przenoszącą żar", należy przypomnieć i prześledzić wydarzenia sprzed wielu dekad. Współczesna historia obrazu sięga 1944 roku, kiedy należał do kolekcji Muzeum Miejskiego w Gdańsku. Rok później Armia Czerwona wywiozła dzieło flamandzkiego mistrza do Związku Radzieckiego, ale w 1957 roku „Kobieta" wróciło do Gdańska. W roku 1974 doszło jednak do wypadku, który ujawnił głęboko skrywaną tajemnicę...

Obraz okazał się fałszywy. Odkrył to kierownik stolarni Henryk Makarewicz, który przez przypadek strącił go ze ściany na ziemię. Zarówno „Kobieta przenosząca żar", jak i sąsiadujące z nią „Ukrzyżowanie" Antona van Dycka, zostały zbadane i uznane za zręczne reprodukcje. Jak do tego doszło, że wartościowe dzieła sztuki zostały podmienione na faksyfikaty Na to pytanie miało odpowiedzieć śledztwo wszczęte przez Milicję Obywatelską.

W trakcie śledztwa znalazł się także świadek, który miał zeznawać w sprawie procederu dużego przemytu obrazów w gdyńskim porcie. Celnik Romuald Werner miał posiadać informacje dotyczące kradzieży i wywozu dzieł sztuki drogą morską. Do redakcji „Dziennika Bałtyckiego" zgłosił się w tej sprawie przed laty przyjaciel Wernera i opowiedział swoją część historii.

- W domu Wernerów bywało wielu znanych ludzi, w tym także gdyńscy prokuratorzy - opowiadał w 2015 roku na łamach „Dziennika" Bogdan Klauza. - Romek był bardzo uczciwy i bezkompromisowy. Przypadkiem odkrył, że przez port gdyński przemycane są z Polski dzieła sztuki. Miał z tym iść do ówczesnego naczelnika, ale ten zlekceważył informację. Wtedy Romek napisał do ministra kultury i sztuki.

Zanim jednak Romuald Werner zdążył opowiedzieć o wielkiej operacji przemytników, zdarzyła się tragedia, której do dzisiaj nie wyjaśniono. Dwa dni po upadku „Kobiety przenoszącej żar" w gdyńskim Redłowie robotnicy pracujący w pobliżu ulicy Legionów usłyszeli rozpaczliwe krzyki. Na cmentarzu Żołnierzy Radzieckich zobaczyli płonącego Romualda Wernera. Niewiele juz mogli zrobić, mężczyzna zmarł na miejscu w wyniku poparzeń.

„Kobieta" zjawia się w muzeum

O tym, co się wydarzyło, wiemy z relacji osób trzecich. Przypomnieliśmy tę historię na łamach „Dziennika Bałtyckiego" przed rokiem przy okazji odnalezienia „Kobiety".

Po śmierci Romualda Wernera prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie podpalenia, ponieważ nie stwierdziła udziału osób trzecich.

Z kolei sprawą kradzieży obrazów zajęła się Służba Bezpieczeństwa. Plotki mówiły, że także esbecy są zamieszani w proceder. Śledztwo umorzono na trzydzieści lat. W 2008 roku policja wróciła do sprawy, ale znowu bez skutku.



FOT. ARTHUR BRAND/GB

„Kobieta przenosząca żar" została zauważnona rok temu w holenderskim muzeum. Obraz nie został jeszcze udostępniony stronie polskiej do oględzin

I nagle, po 51 latach od ujawnienia fałszerstwa przez Henryka Makarewicza, „Kobieta przenosząca żar" pojawiła się w holenderskim Muzeum Goudy. Odkryli to dziennikarze „De Telegraaf" wraz z detektywem Arthurem Brandem z magazynu artystycznego „Vind". Okazało się, że obraz został udostępniony instytucji przez prywatnego właściciela. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, że to ten sam obraz, który w 1974 roku zniknął ze ściany Muzeum Narodowego w Gdańsku. Także Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego potwierdzało znalezisko i przekonywało, że będzie próbować odzyskać tak znakomite dzieło sztuki.

Już wtedy jednak wiadomo było, że sprawa nie będzie prosta. Jeden z dziennikarzy wyjawił, że dotarł do wnuka właściciela obrazu sprzed wybuchu II wojny światowej. Dziennikarz śledczy Mick van Wely wskazał, że był to właściciel cegielni i kolekcjoner sztuki Henri Wijers.

- Wnuk Weijersa powiedział mi, że jego dziadek został zmuszony do przekazania obrazów Niemcom - opowidział nam Mick van Wely.

Prawnik obecnego właściciela „Kobiety" miał być zdania, że to właśnie niemieccy naziści zabrali dzieła do Gdańska. Anonimowy kolekcjoner wcale nie zamierzał oddać obrazu do Narodowego Muzeum w Gdańsku, chciał jednak wyjaśnić od kogo Henri Weijers kupił obraz.

- Rodzina nie chce oddać dzieła Brueghela Polsce - wyjaśnia van Wely.

Przełomu brak, ale jest wiara

Od odnalezienia obrazu, wszczęcia na nowo postępowań i naszej rozmowy z holenderskim dziennikarzem - minął już rok. Zapytaliśmy o postępy w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zgodnie z przewidywaniami stało sie jasne, że sprawa nie znajdzie szybkiego finału.

- Obraz, który znajduje się w prywatnym depozycie w Limburgs Museum w Venlo, nie został jeszcze udostępniony stronie polskiej do oględzin - potwierdza Piotr Jędrzejowski, rzecznik Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego .

W związku ze wszczętym śledztwem kradzieży wystosowano Europejski Nakaz Dochodzeniowy. Resort kultury wysłał z kolei wniosek w module Zwrotu Dóbr Kultury. To wyspecjalizowana sekcja unijnego Systemu Wymiany Informacji na Rynku Wewnętrznym (IMI). Polska strona czeka na oglkędziny obrazu, aby móc kontynuować swoje postępowanie.

- Proces restytucji dzieła do Polski nie został zakończony. Informacja o tym, że czynności są prowadzone, została przekazana przez stronę holenderską 24 kwietnia br. za pośrednictwem systemu IMI - swierdził Piotr Jędrzejowski, rzecznik MKiDN.

Na pytania o reakcję i informacje ze strony holenderskiej, nie dostaliśmy jednak konkretnej odpowiedzi. Z podanych przez ministerstwo informacji wynika jednak, że przez ponad rok nie udało się pozyskać obrazu. Próby sprowadzenia dzieła odbywają się dwutorowo - za sprawą Europejskiego Nakazu Dochodzeniowego (END) oraz Systemu IMI. Śledztwo dotyczące zaginięcia obrazu zostało przedłużone.

- Postępowanie prowadzone jest w sprawie, co oznacza, że nikomu nie przedstawiono zarzutów - mówi rzecznik Prokuratury Okręgowej w Gdańsku, prok. Mariusz Duszyński.

Na podstawie Europejskiego Nakazu Dochodzeniowego przesłuchanie świadków - w tym także obecnego właściciela obrazu - zostało powierzone stronie holenderskiej. Z informacji podanych przez rzecznika wynika jednak, że na razie polska strona nie ma zbyt wielu materiałów od Holendrów.

- Prokuratura Okręgowa w Gdańsku nie dysponuje informacjami dotyczącymi tego, na jakim etapie znajduje się realizacja END i nie dysponuje opinią dot. autentyczności obrazu. Obraz „Kobieta przenosząca żar" w dalszym ciągu znajduje się na terenie Holandii - podawał jeszcze w marcu prok. Mariusz Duszyński.

Także w sprawie kradzieży obrazu na razie brak przełomu. Jak podaje rzecznik, nie udało się wciąż wyjaśnić okoliczności zdarzenia z 1974 roku. To jednak zrozumiałe - zaniedbana przez 51 lat sprawa nie zostanie rozwikłana w ciągu 12 miesięcy.

Czy w kradzież obrazu faktycznie zaangażowani byli naziści, w tym ludzie Hermanna Göringa? Czy w takim razie gdańskie muzea skrywają więcej dzieł sztuki przywiezionych przez nazistowskich kolekcjonerów? Czy „Kobieta przenosząca żar", warta setki tysięcy euro, kiedykolwiek wróci do Polski, mimo że na razie jest to wbrew woli obecnego właściciela?

I jeszcze jedno - co się stało z bardziej wartościowym „Ukrzyżowaniem", które zniknęło wraz z „Kobietą" w 1974 roku?

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl ffca6fe78e

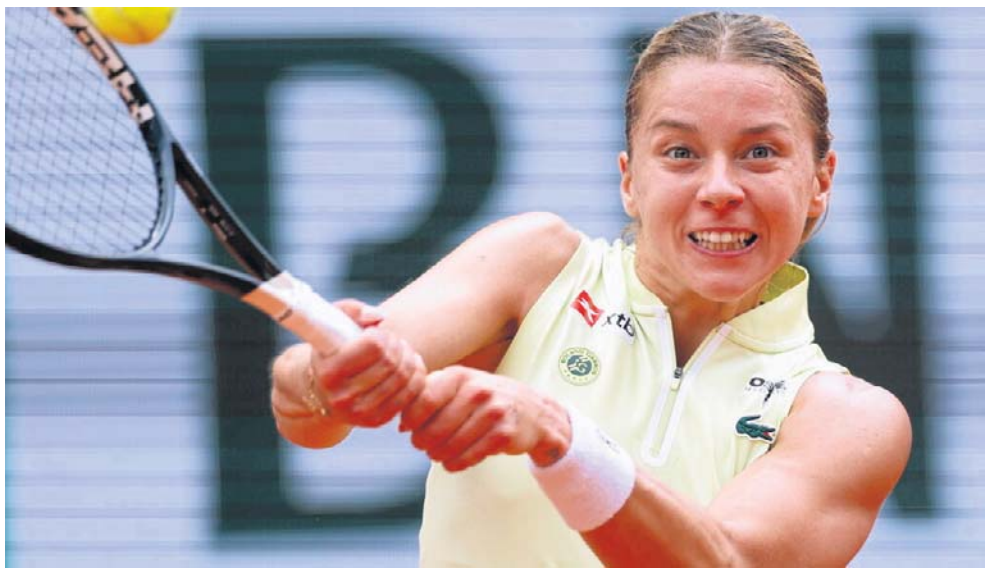

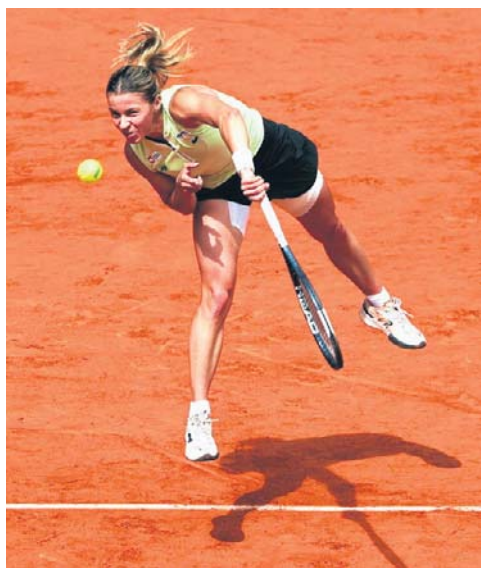







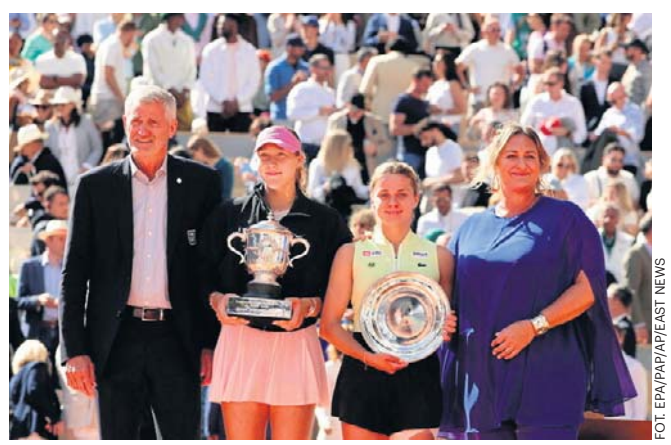

FOT. EPA/PAP/AP/EAST NEWS

Maja Chwalińska w finale Rolanda Garrosa, mimo że była już potwornie zmęczona trzytygodniowymi zmaganiami w Paryżu – trzema meczami w kwalifikacjach i siedmioma w turnieju głównym – walczyła ostatkiem sił o tytuł z Rosjanką Mirrą Andriejewą. Jej występ oklaskiwał z trybun Brad Pitt. Ostatecznie Polka odebrała paterę wicemistrzyni French Open 2026

Tenis Skromna 24-latka z Dąbrowy Górniczej wyczynem w paryskim szlemie zapisała się w historii

Maja Chwalińska finałem French Open poruszyła cały świat

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Maja Chwalińska została wicemistrzynią French Open, sprawiając jedną z największych sensacji w historii Wielkiego Szlema. Z anonimowej kwalifikantki stała się ulubienicą fanów tenisa na świecie.

Zajmująca 114. miejsce w rankingu światowym Maja Chwalińska była najniżej notowaną zawodniczką, jaka dotarła do decydującego pojedynku w Paryżu od czasu wprowadzenia listy WTA, a jednocześnie „zdetronizowała" swoją rodaczkę Igę Świątek, która po swój pierwszy z czterech triumfów w tym turnieju ruszyła z 54. pozycji w świecie.

Rówieśniczka Świątek i jej przyjaciółka od dziecka, 24-letnia tenisistka z Dąbrowy Górniczej, choć w wieku juniorek skutecznie rywalizowała z Igą, po wejściu w tenis seniorek „zgasła" z powodu swojej drobnej postury (zaledwie 164 cm wzrostu miało wykluczyć ją z atletycznego sportu wyczynowego) i problemów zdrowotnych (częstych kontuzji), co doprowadziło ją nawet do depresji. Załamanie psychiczne omal nie zakończyło jej kariery, ale wielkie zamiłowanie do tenisa pozwoliło jej po kilku miesiącach otrząsnąć się z marazmu i wrócić na kort, powoli odbudowując formę i ciułając punkty w rankingu.

Kosztowny sport nie dawał jej większych nadziei na przebicie się do czołówki (nie stać jej było choćby na pokrycie startów w prestiżowych turniejach na różnych kontynentach), Maja jednak uparcie pięła się w rankingu z odległych miejsc, odnosząc drobne sukcesy: najpierw w nisko notowanych turniejach ITF, a następnie ważniejszych zawodach WTA.

Przełom nastąpił nagle, w maju tego roku, gdy cierpliwa zawodniczka BKT Advantage Bielsko-Biała niespodziewanie przebrnęła trzystopniowe kwalifikacje w Wielkim Szlemie w Paryżu, a w turnieju głównym z rundy na rundę sprawiała sensację za sensacją, eliminując kolejno mistrzynię olimpijską Chinkę Qinwen Zheng 6:4, 6:0, następnie w takim samym stosunku rozstawioną z numerem 23. Belgijkę Elise Mertens (byłą numer 3 na świecie), półfinalistkę French Open i US Open z 2021 roku Greczynkę Marię Sakkari 1:6, 6:3, 6:2, w 1/8 finału reprezentantkę gospodarzy Diane Parry 6:3, 6:2, w ćwierćfinale rozstawioną z numerem 22 Rosjankę Annę Kalinską 7:6 (7-3), 6:3 i w półfinale kolejną Rosjankę z 25. numerem na liście - Dianę Sznajder 7:6 (7-4), 6-4.

Tenisowy świat przecierał oczy ze zdumienia, widząc poczynania nieznanej Polki, która prezentuje zupełnie nieoczywisty w obecnych czasach tenis, oparty na nienagannej technice, sprycie i wykorzystywaniu błędów rywalek.

Publiczność francuska i cała tenisowa Polska zaczęła kibicować „underdogowi" z Dąbrowy Górniczej, tym bardziej że w 1/8 finału odpadła czterokrotna mistrzyni Rolanda Garrosa, trzecia na świecie Świątek.

Słynna siedmiokrotna mistrzyni Wielkiego Szlema, Amerykanka Venus Williams, komentująca turniej jako ekspert stacji telewizyjnej TNT Sport, porównała Chwalińską do bajkowej bohaterki. - To jak sen: widzieć, jaka jest szczęśliwa, jaka słodka i jak trudno jej w to uwierzyć. Przeszła tak długą drogę, że to prawdziwa historia Kopciuszka - stwierdziła Venus.

Wszystkie oczy zwróciły się na skromną dziewczynę z Polski, która nawet nie miała jednolitego stroju podczas meczów, a zapytana o tego przyczynę, odparła: No cóż, tak naprawdę nie ma w tym żadnej historii. Nie jestem sponsorowana, więc chyba to jest historia. Po prostu noszę to, co mi się podoba, co, szczerze mówiąc, jest bardzo fajne.

Wcześniej wielkie zdziwienie wywołało przyznanie Mai po jednym z meczów w drugim tygodniu turnieju, że po awansie do kolejnej rundy ma problem z przedłużeniem hotelu w Paryżu, bo wprawdzie świetnie zarobi na French Open, ale przelewy na konto wpłyną dopiero po zakończeniu zawodów. Z kłopotu wybawił ją sponsor Świątek, firma Oshee, która rezerwację hotelu na dalszą część French Open wzięła na siebie.

Finał z trzecią z kolei Rosjanką, rozstawioną z numerem 8 Mirrą Andriejewą, miał być zwieńczeniem bajkowej historii z happy endem. Chwalińska, zmęczona trudami trzytygodniowych zmagań w Paryżu (trzy mecze kwalifikacji i siedem turnieju głównego),

Tak naprawdę nie ma w tym żadnej historii. Nie jestem sponsorowana, więc chyba to jest historia. Po prostu noszę to, co mi się podoba

a także presją powiększającej się w rozmiarach geometrycznych rzeszy sympatyków, nie podołała. Wprawdzie na początku spotkania nawiązała równorzędną walkę z młodszą o 5 lat, ale już otrzaskaną w meczach o najwyższą stawkę Mirrą, ale gdy opuściły ją siły, przegrała seta i w kolejnym oddała pięć gemów rywalce. Dopiero pod koniec meczu się otrząsnęła i wyrwała dwa gemy, kończąc mecz honorową porażką 3:6, 2:6.

- Żałuję, że nie zobaczyliście dzisiaj lepszego meczu, ale Mirra była dziś dla mnie po prostu za dobra, więc to jej wina. Ja dałam z siebie wszystko. Przepraszam. Nigdy nie zapomnę tych trzech tygodni, Paryż na zawsze zostanie w moim sercu - skomentowała Maja swoją jedyną porażkę.

Z trybun odpowiedziało jej gromkie: „Dziękujemy! Dziękujemy!".

Andriejewa doceniła klasę Polki. - Chcę pogratulować Mai tych niesamowitych trzech tygodni. Zakwalifikować się, wygrać tyle meczów i pokonać tyle silnych przeciwniczek - to niesamowite. Wykonałaś niesamowitą pracę. Jesteś bardzo trudną przeciwniczką. Nie chciałabym znowu z tobą grać - powiedziała ze śmiechem.

Mimo porażki w finale, Maja zapisała się w historii światowego tenisa.

©℗

eprasa.pl ffca6fe78e

Nasza reprezentacja jest nad przepaścią

Adam Godlewski
redakcja@polskapress.pl

O zakończonym zgrupowaniu i towarzyskich meczach reprezentacji Polski rozmawiamy z Andrzejem Grajewskim, byłym właścicielem Widzewa Łódź, obecniekomentatorem wydarzeń w sporcie.

Za nami dwa mecze reprezentacji Polski…
…w których nasz selekcjoner Jan Urban powołał w zasadzie każdego , kto ma jakieś znaczenie dla polskiej piłki. A nawet kilku zbędnych. W pierwszym meczu dostaliśmy sromotne lanie od Ukraińców, będąc drużyną gorszą pod każdym względem. W drugim tylko opatrzność ochroniła nas od następnej katastrofy. Dlatego że strzał rozpaczy Przemka Wiśniewskiego oddany był na zasadzie, że raz w roku to i miotła wystrzeli. I to jest wszystko na ten temat. Nasza piłka reprezentacyjna znalazła się nad przepaścią. Dlatego domagam się od sztabu trenera Urbana, żeby miał odwagę powiedzieć, że Robert Lewandowski, a także Piotr Zieliński to już zgrane karty.

Robert Lewandowski?!
Tak, to przepiękny, wspaniały piłkarz, który na pewno zapisał się złotymi zgłoskami w naszej piłkarskiej historii. Ale jego czas minął, a każdy kolejny występ jest stratą czasu dla tej drużyny. Występ Roberta przeciw Nigerii


FOT. ADAM JANKOWSKI

Czy Jakub Kamiński ma papiery na wielki futbol?

można określić jednym słowem: frustracja. Brak dynamiki u tego napastnika jest jednak naturalny. Pokazuje, że wszystko można kupić albo oszukać, tylko nie PESEL. Ten motor już od jakiegoś czasu nie pracuje na maksa i już nie da naszemu zespołowi energii niezbędnej do sukcesu w poważnym turnieju. Lewandowski - jeśli jeszcze nie ma nowego klubu - tylko sobie zaszkodził ostatnimi występami w kadrze. Jeśli przyszli pracodawcy zobaczyli, co w tej chwili prezentuje, to go nie zatrudnią za te bajońskie sumy, jakie w tej chwili są kolportowane w mediach.

Piotr Zieliński?!
Po raz wtóry pokazał, że może jest klasowym zawodnikiem, ale w piłce klubowej. Bo jego dobre mecze w reprezentacji Polski można wymienić na palcach jednej ręki. To dłużej nie ma sensu. Skupmy się na tym, żeby wykreować innych zawodników na newralgicznych pozycjach numer dziewięć i dziesięć. Im szybciej to nastąpi, tym szybciej wyjdzie reprezentacji na zdrowie. Jasiu, do roboty!

Urban upiera się na trzech stoperów, a to ślepa uliczka.
Jeżeli chodzi o założenia taktyczne, nie zgadzam się z moim przyjacielem Jankiem Urbanem. bo my zwyczajnie nie umiemy grać na trzech stoperów. Jako słabeusz, a brak na mundialu, w którym wystąpi 48 drużyn, brutalnie wskazuje nasze miejsce w szeregu, nie możemy wstydzić się zmasowanej obrony i ataków z kontry. Nie ma zresztą innego wyboru, ponieważ nie umiemy grać atakiem pozycyjnym. Jakub Kiwior z Janem Bednarkiem nie wyprowadzają akcji w sposób, który by to umożliwiał; oni raczej wybijają piłkę.

Urban mówi, że nie ma alternatywy dla Kiwiora na lewej stronie w bloku 4-oosobowym.
Jeżeli trener Urban szuka alternatywy na pozycje, które dawałyby możliwość gry w takim systemie, to podpowiem, że jest taki zawodnik, który grał w minionym sezonie na lewej obronie w klubie Hertha BSC i nazywa się Michał Karbownik. I najwyższy czas, żeby Janek sprawdził jego umiejętności. Bo powoływanie takich graczy, jak Kacper Kozłowski, który od czterech lat jest następnym wiecznym talentem na miarę Zielińskiego, naprawdę nie ma sensu. Nie wiem też, co selekcjoner widzi w Filipie Rózdze; jego w tym momencie nie powinni być w kadrze, ale nie chcę wkraczać w kompetencje trenera. Ja widzę natomiast, że wiele klocków w tej drużynie do siebie nie pasuje. Liczba straconych goli - począwszy od meczu z Maltą - jest przerażająca. Bronimy bardzo źle, akcent jest położony na formację ofensywną, ale bramek też nie zdobywamy. W spotkaniu z Nigerią Kuba Kamiński z pięciu metrów nie strzelił celnie główką, a jeszcze zabrał szansę Lewandowskiemu. Dostaliśmy odpowiedź, dlaczego jest w Kolonii, a nie w jednym ze słynnych klubów, w których widzą go tylko polscy dziennikarze. Jeśli nie umie wykorzystać takich okazji, to nigdy nie będzie zawodnikiem do wielkiej piłki. Zresztą to znamienne: ostatnio codziennie czytałem, że Kiwior jest już prawie w Barcelonie. Zadzwoniłem więc do mojego przyjaciela w Katalonii, aby to potwierdzić, i usłyszałem, że drużyna amatorów nie potrzebuje takich wzmocnień.

Skoro mówimy o transferach - Kamil Grabara jest łączony z klubami Premier League.
To bardzo interesujące, bo z pierwszej ręki, od działaczy Wolfsburga, mam informację, że dotąd nie przyszła żadna oferta. Kolejki po naszego golkipera nie ma. I to w sytuacji, gdy Wolfsburg bardzo chętnie Grabary by się pozbył. A na dziś pierwszy bramkarz reprezentacji Polski jest zawodnikiem klubu drugoligowego i jeśli nic się nie wydarzy, to przynajmniej przez rok będzie musiał grać na zapleczu Bundesligi. I to pokazuje, że przeszacowaliśmy wartość naszych kadrowiczów. Za to nie doszacowaliśmy skali trudności, z jaką w pracy musi mierzyć się trener Urban.

Widzi Pan jakieś pozytywy po tym zgrupowaniu?
Po tych dwóch meczach jestem nie tyle rozczarowany, co zrozpaczony, że my tak bardzo męczymy się na własnym terenie z drużynami, które też nie załapały się na wycieczkę do Ameryki. Dlatego trudno o pozytywy. Ukraińcy przy stanie 2:0 przestali grać, ale my i tak nie przeprowadziliśmy żadnej akcji, która by pokazała, że ten mecz się dla nas nie skończył.

Naprawdę nie spodobał się Panu żaden z debiutantów?
Szkoda, że Karol Czubak wszedł tylko na trzy minuty. Z rozgrywek ekstraklasy wiemy, że ten chłopak ma smykałkę do strzelania bramek…

Ale wygląda na to, że Czubak - zdaniem Urbana - nie ma poziomu reprezentacyjnego.
To kto ma ten poziom: Krzysztof Piątek, Adam Buksa, Karol Świderski? Trener Urban musi wytłumaczyć, dlaczego napastnikowi Motoru dał trzy minuty, a Mateuszowi Żukowskiemu znacznie więcej. Bo mnie piłkarz Magdeburga nie przekonał grą w debiucie. Podobnie jak Kacper Potulski, który zdobył ważnego gola. OK, to duży talent, ale to jest melodia przyszłości. Na dziś to nie jest zawodnik, który da wzmocnienie w linii obrony. Dla mnie to podobny przypadek do Oskara Pietuszewskiego. Oglądałem regularnie mecze FC Porto i widziałem nie tylko atuty, ale też niedostatki tego młokosa. To niewątpliwie kandydat na czołowego reprezentanta, ale jeszcze nie dziś.

Długo sobie nie pograły. Polki spadają do dywizji B. Znamy wszystkich I-ligowców

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress

W swoim piątym meczu dywizji A rozgrywek Ligi Narodów, które są jednocześnie eliminacjami mistrzostw świata 2027, piłkarki reprezentacji Polski przegrały w Gdańsku z Francją 0:2 (0:0).

W praktyce, oznacza to, że Biało-Czerwone poniosły w grupie 2 czwartą kolejną porażkę i spadły do dywizji B.

Polki wróciły do dywizji A Ligi Narodów w ubiegłym roku, jednak ich pobyt w najwyższej klasie trwał tylko jeden cykl.

Co prawda na początku marca, na inaugurację rozgrywek, podopieczne trener Niny Patalon zremisowały w Gdańsku 2:2 z Holandią, ale później poniosły cztery porażki z rzędu - w Dijon 1:4 z Francją, z Irlandią 2:3 w Gdańsku i 0:1 w Dublinie oraz w piątek 0:2 nad Bałtykiem z Francuzkami.

Wśród 11 713 widzów zgromadzonych na „Polsat Plus Arena Gdańsk" - to zresztą rekord frekwencji na meczu kobiecej reprezentacji - znalazła się żona Prezydenta RP Marta Nawrocka.

Idzie, idzie - Podbeskidzie!

Piłkarze Podbeskidzia Bielsko-Biała wygrali na swoim stadionie finał baraży II ligi z Sandecją Nowy Sącz 3:1 (1:0) i po dwóch sezonach spędzonym na trzecim poziomie rozgrywkowym wracają na zaplecze ekstraklasy.

Dla drużyny z południa kraju, którą aktualnie trenuje Marcin Włodarski (wcześniej szkoleniowiec m.in. reprezentacji Polski U15, U16 i U17 oraz Zagłębia Lubin), gra na drugim poziomie nie jest niczym nowym. W przeszłości rywalizowała tam aż przez


FOT. PAP/ADAM WARŻAWA

Tym razem Ewa Pajor nie pomogła reprezentacji

szesnaście sezonów. Z kolei sześć spędziła w ekstraklasie.

Wcześniej, bezpośrednią promocję do I ligi uzyskały Unia Skierniewice i Warta Poznań.

W półfinale baraży, Podbeskidzie Bielsko-Biała pokonało - również przed własną publicznością - Śląsk II Wrocław 2:1, a Sandecja Nowy Sącz - grając na wyjeździe - okazała się lepsza od Olimpii Grudziądz także 2:1.

Świat ucieka

Anita Włodarczyk ma już za sobą pierwszy tegoroczny start. Podczas mityngu lekkoatletycznego „New Taipei City Athletics Open" zaliczanego do cyklu „World Athletics Continental Tour - Silver", który odbył się w Nowym Tajpej, Polka wygrała konkurs rzutu młotem mocno przeciętnym wynikiem 71.01 m (seria: 66.37 m - 69.97 m - 71.01 m - 70.41 m - 70.16 m - 70.91 m).

Dla Włodarczyk to już trzecie w karierze zwycięstwo w zawodach organizowanych w Tajwanie.

Liderką europejskich tabel wciąż jest Nastassia Masława (77.67 m - rekord Białorusi), która jednak nie będzie mogła wystartować na tegorocznych mistrzostwach Europy (10-16 sierpnia, Birmingham). Druga jest Finka Krista Tervo - 77.35 m.

Jak daleko świat uciekł Anicie Włodarczyk, niech świadczą zawody „USATF Lone Star Grand Prix" zaliczane do cyklu „World Athletics Continental Tour - Gold".

Na „Cushing Stadium" w Bryan-College Station w Teksasie, Kanadyjka Camryn Rogers okazała się najlepsza z wynikiem 79.36 m, wyprzedzając o zaledwie 3 centymetry Amerykankę Rachel Richeson.

Ta druga odległość to najlepszy rezultat w historii, który… nie dał wygranej! Poprzedni również należał do tej dziewczyny, która dwa miesiące wcześniej, w wietrznej Ramonie, posłała młot na odległość 78.30 m…

Trzecia w konkursie była Chinka Zhao Jie - 76.25 m, a na kolejnych pozycjach zostały sklasyfikowane Amerykanki - Brooke Andersen - 75.80 m, DeAnna Price - 75.31 m i Annette Nneka Echikunwoke, której rodzice są Nigeryjczykami - 74.71 m.

To najlepszy konkurs rzutu młotem w wykonaniu pań w historii!

Z kolei w 3. edycji mityngu w Gorzowie Wielkopolskim, Damian Czykier wygrał bieg na dystansie 110 metrów przez płotki (-2,0 m/sek.) w czasie 13.44. Ostatni raz pobiegł szybciej w czerwcu 2024 roku…

Mamy podium

Kajakarka górska Klaudia Zwolińska - wicemistrzyni olimpijska i dwukrotna mistrzyni świata, zajęła 2. miejsce w swojej koronnej konkurencji - slalomie K1 w zawodach Pucharu Świata w Pradze. Wśród mężczyzn tuż za podium uplasował się Mateusz Polaczyk. ©℗

eprasa.pl ffca6fe78e

Żużel Bartosz Zmarzlik drugi w klasyfikacji generalnej Grand Prix

POLAK TWORZY HISTORIĘ. NIE MA MOCNYCH NA KANGURÓW

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Bartosz Zmarzlik czwarty i trzeci w dwudniowych zmaganiach żużlowych indywidualnych mistrzostw świata. Na legendarnym torze „National Speedway Stadium", Polak ścigał się znakomicie.

Pierwszego dnia rywalizacji - w zawodach 3. rundy Grand Prix - Bartosz Zmarzlik uplasował się na 4. miejscu - w finale. Polak, broniący tytułu, niegroźnie upadł i został wykluczony z powtórki. Zawody wygrał Australijczyk Max Fricke.

Do minionego piątku, w 31-letnim cyklu Grand Prix tylko dwukrotnie zdarzyło się, żeby w pojedynczym turnieju podium zajęli w całości reprezentanci jednego kraju i dwukrotnie byli to Polacy (w 2010 roku, w Toruniu w premierowej w tym mieście imprezie - Tomasz Gollob, Rune Holta, Jarosław Hampel oraz w 2017 roku w łotewskim Dyneburgu - Piotr Pawlicki, Patryk Dudek, Maciej Janowski).

W Manchesterze taką historię wreszcie powtórzyli Australijczycy - Max Fricke, Brady Kurtz i Jack Holder.

W finale, Bartosz Zmarzlik dobrze ruszył spod taśmy, ale chwilę później... zaliczył upadek. Na szczęście szybko wstał z toru. Tyle że decyzja sędziego Aleksandra Latosińskiego mogła być tutaj tylko jedna - wykluczenie.

Dzień później, Zmarzlik pojechał w dwunasty z rzędu finał turnieju Grand Prix, co jest nowym rekordem cyklu.

Kolejny turniej odbędzie 20 czerwca we Wrocławiu. ©℗



FOT. NUR PHOTO/EAST NEWS

Bartosz Zmarzlik kontra Australijczyk Max Fricke i Andrzej Lebiediew z Łotwy

1. GRAND PRIX W. BRYTANII:

1. Max Fricke - 12 (0,3,3,3,3,3) - 20 pkt GP; 2. Brady Kurtz - 10+3 (2,3,2,0,3,2) - 18; 3. Jack Holder (wszyscy Australia) - 11+3 (2,3,3,2,1,1) - 16; 4. Bartosz Zmarzlik (Polska) - 13 (3,2,2,3,3,w) - 14; 5. Robert Lambert (W. Brytania) - 10+2 (1,2,3,1,3) - 12; 6. Michael Jepsen Jensen - 9+2 (1,1,2,3,2) - 11; 7. Anders Thomsen (obaj Dania) - 9+1 (2,3,3,1,0) - 10; 8. Patryk Dudek (Polska) - 9+1 (3,2,1,1,2) - 9; 9. Leon Madsen (Dania) - 7+0 (1,0,1,3,2) - 8; 10. Jason Doyle (Australia) - 7+0 (3,1,1,1,1) - 7; 11. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 7 (1,0,2,2,2) - 6; 12. Jan Kvech (Czechy) - 6 (2,1,0,2,1) - 5; 13. Kacper Woryna (Polska) - 5 (3,0,0,2,w) - 4; 14. Tom Brennan (W. Brytania) - 2 (0,2,0,0,0) - 3; 15. Kai Huckenbeck (Niemcy) - 2 (0,1,0,0,1) - 2; 16. Nazar Parnicki (Ukraina) - 1 (0,0,1,0,0) - 1; 17. Anders Rowe - ns; 18. Dan Thompson (obaj W. Brytania) - ns

Bieg po biegu:

1. (61,45) Doyle, Kvech, Jepsen Jensen, Huckenbeck
2. (61,97) Dudek, Thomsen, Lambert, Fricke
3. (61,84) Zmarzlik, Holder, Madsen, Parnicki
4. (62,46) Woryna, Kurtz, Lebiediew, Brennan
5. (61,47) Kurtz, Dudek, Doyle, Madsen
6. (62,14) Thomsen, Brennan, Kvech, Parnicki
7. (61,52) Fricke, Zmarzlik, Jepsen Jensen, Lebiediew
8. (61,98) Holder, Lambert, Huckenbeck, Woryna
9. (62,46) Thomsen, Zmarzlik, Doyle, Woryna
10. (62,87) Holder, Lebiediew, Dudek, Kvech
11. (63,00) Lambert, Jepsen Jensen, Madsen, Brennan
12. (62,32) Fricke, Kurtz, Parnicki, Huckenbeck
13. (62,12) Fricke, Holder, Doyle, Brennan
14. (62,31) Zmarzlik, Kvech, Lambert, Kurtz
15. (62,96) Jepsen Jensen, Woryna, Dudek, Parnicki
16. (63,17) Madsen, Lebiediew, Thomsen, Huckenbeck
17. (62,64) Lambert, Lebiediew, Doyle, Parnicki
18. (63,47) Fricke, Madsen, Kvech, Woryna (w/su)
19. (63,08) Kurtz, Jepsen Jensen, Holder, Thomsen
20. (63,52) Zmarzlik, Dudek, Huckenbeck, Brennan

Półfinały:

21. (64,39) Holder, Jepsen Jensen, Thomsen, Madsen
22. (64,42) Kurtz, Lambert, Dudek, Doyle

Finał:

23. (65,89) Fricke, Kurtz, Holder, Zmarzlik (w/u)

Sędzia: Aleksander Latosiński (Ukraina)
Najlepszy czas dnia: 61,45 sek. - Jason Doyle (Australia) w 1. biegu

2. GRAND PRIX W. BRYTANII:

1. Brady Kurtz (Australia) - 15 (3,3,3,3,0,3) - 20 pkt GP; 2. Michael Jepsen Jensen (Dania) - 16 (2,3,3,3,3,2) - 18; 3. Bartosz Zmarzlik (Polska) - 11+3 (1,2,3,2,2,1) - 16; 4. Jack Holder -10+3 (3,2,2,0,3,0) - 14; 5. Max Fricke - 9+2 (2,0,1,3,3) - 12; 6. Jason Doyle (wszyscy Australia) - 7+2 (1,3,0,2,1) - 11; 7. Jan Kvech (Czechy) - 10+1 (3,1,2,1,3) - 10; 8. Kacper Woryna (Polska) - 8+1 (3,1,1,1,2) - 9; 9. Kai Huckenbeck (Niemcy) - 8+0 (0,3,3,0,2) - 8; 10. Robert Lambert (W. Brytania) - 8+0 (2,2,2,1,1) - 7; 11. Leon Madsen (Dania) - 7 (0,1,2,2,2) - 6; 12. Patryk Dudek (Polska) - 5 (1,0,0,3,1) - 5; 13. Anders Thomsen (Dania) - 4 (1,2,0,1,0) - 4; 14. Andrzej Lebiediew (Łotwa) - 4 (0,0,1,2,1) - 3; 15. Tom Brennan (W. Brytania) - 3 (2,1,0,0,0) - 2; 16. Nazar Parnicki (Ukraina) - 1 (0,0,1,0,0) - 1; 17. Anders Rowe - ns; 18. Dan Thompson (obaj W. Brytania) - ns

Bieg po biegu:

1. (61,62) Kvech, Jepsen Jensen, Zmarzlik, Madsen
2. (61,75) Woryna, Fricke, Dudek, Parnicki
3. (60,98) Kurtz, Brennan, Doyle, Lebiediew
4. (61,78) Holder, Lambert, Thomsen, Huckenbeck
5. (61,03) Doyle, Holder, Kvech, Dudek
6. (62,11) Huckenbeck, Zmarzlik, Brennan, Parnicki
7. (61,25) Kurtz, Lambert, Madsen, Fricke
8. (62,44) Jepsen Jensen, Thomsen, Woryna, Lebiediew
9. (62,33) Kurtz, Kvech, Parnicki, Thomsen
10. (62,18) Zmarzlik, Lambert, Lebiediew, Dudek
11. (62,86) Huckenbeck, Madsen, Woryna, Doyle
12. (62,76) Jepsen Jensen, Holder, Fricke, Brennan
13. (62,91) Fricke, Lebiediew, Kvech, Huckenbeck
14. (61,86) Kurtz, Zmarzlik, Woryna, Holder
15. (63,01) Dudek, Madsen, Thomsen, Brennan
16. (63,03) Jepsen Jensen, Doyle, Lambert, Parnicki
17. (63,70) Kvech, Woryna, Lambert, Brennan
18. (63,18) Fricke, Zmarzlik, Doyle, Thomsen
19. (63,47) Holder, Madsen, Lebiediew, Parnicki
20. (63,62) Jepsen Jensen, Huckenbeck, Dudek, Kurtz

Półfinały:

21. (63,06) Holder, Fricke, Woryna, Lambert
22. (63,27) Zmarzlik, Doyle, Kvech, Huckenbeck

Finał:

23. (63,24) Kurtz, Jepsen Jensen, Zmarzlik, Holder

Sędzia: Aleksander Latosiński (Ukraina)
Najlepszy czas dnia: 60,98 sek. - Brady Kurtz (Australia) w 3. biegu

Klasyfikacja generalna żużlowych mistrzostw świata (po czterech turniejach):

1. Brady Kurtz (Australia) 65 pkt.; 2. Bartosz Zmarzlik (Polska) 62; 3. Jack Holder (Australia) 55; 4. Michael Jepsen Jensen (Dania) 45; 5. Kacper Woryna (Polska) 44; 6. Max Fricke (Australia) 42; 7. Robert Lambert (W. Brytania) 42; 8. Jason Doyle (Australia) 37 ; 9. Leon Madsen (Dania) 35; 10. Patryk Dudek (Polska) 29; 11. Andrzej Lebiediew (Łotwa) 23; 12. Daniel Bewley (W. Brytania) 18; 13. Anders Thomsen (Dania) 18; 14. Jan Kvech (Czechy) 18; 15. Dominik Kubera (Polska) 17; 16. Fredrik Lindgren (Szwecja) 12; 17. Nazar Parnicki (Ukraina) 10; 18. Kai Huckenbeck (Niemcy) 10; 19. Tom Brennan (W. Brytania) 7; 20. Norick Blödorn (Niemcy) 4; 21. Adam Bednar (Czechy) 1; 22. Kevin Wölbert (Niemcy) 0.

Tutaj nikt grosza nie żałuje. Mamy o co grać

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

SIATKÓWKA. **Za nami pierwszy turniej żeńskiej Ligi Narodów. W chińskim Nankinie, Polki pokonały kolejno - Belgię 3:2, Czechy 3:0 i Serbię 3:2. Na koniec przegrały jednak ze sprytnymi Chinkami 1:3.**

W odmienionym składzie, bez dotychczasowych liderek, m.in. Magdaleny Stysiak (dopiero na początku maja zakończyła sezon klubowy) i Agnieszki Korneluk (zakończyła karierę), polskie siatkarki rozpoczęły tegoroczną przygodę z Ligą Narodów.

Lista nieobecnych jest znacznie dłuższa, z różnych powodów z gry w kadrze zrezygnowały m.in. Weronika Centka-Tietianiec, Julia Nowicka, Joanna Lelonkiewicz oraz Olivia Różański.

Trener Stefano Lavarini powołał natomiast kilka debiutantek: Oliwię Sieradzką, Maję Koput, Natalię Kercher czy Julię Szczurowską.

Kolejne turnieje LN kobiet rozegrane zostaną w dniach 17-21 czerwca w Bangkoku, gdzie wystąpi Polska, oraz w filipińskim Pasig City i Ankarze.

Do turnieju finałowego, który rozegrany zostanie w Makau (22-26 lipca) awansuje siedem najlepszych drużyn z tabeli plus gospodarz, czyli Chiny.

Ostatni zespół zostanie zdegradowany, a jego miejsce zajmie drużyna legitymująca się najwyższym miejscem w międzynarodowym rankingu, która nie uczestniczy w tegorocznej edycji Ligi Narodów.

Chińskie wyzwanie

Nowy kapitan i przyjmujący - Aleksander Śliwka oraz rozgrywający Jan Firlej znaleźli się w reprezentacji Polski siatkarzy na pierwszy turniej 8. edycji Ligi Narodów, który odbędzie się już w tym tygodniu w chińskim Linyi. Trener Nikola Grbić ogłosił 14-osobowy skład.

W drużynie na pierwszy tydzień Ligi Narodów znalazło się trzech zawodników, którzy grali w ubiegłorocznych mistrzostwach świata - wspomniany rozgrywający Firlej, środkowy Szymon Jakubiszak i libero Maksymilian Granieczny.

Od początku rozgrywek, trener Nikola Grbić stawia też na doświadczonego Śliwkę, który po dwóch bardzo trudnych sezonach i kontuzjach potrzebuje więcej gry.

Na początku reprezentacyjnego lata więcej wolnego otrzymali m.in. środkowy Jakub Kochanowski czy przyjmujący - Wilfredo Leon, Tomasz Fornal i Kamil Semeniuk.

Wobec nieobecności doświadczonych zawodników, szansę na debiut w rozgrywkach otrzymali m.in. rozgrywający Marcel Bakaj, przyjmujący Bartosz Firszt i Bartosz Zych.

W reprezentacji nie zobaczymy w tym sezonie środkowego Mateusza Bieńka - powodem absencji doświadczonego siatkarza są problemy zdrowotne.

Zmagania w hali „Linyi Olympic Sports Park Gymnasium", Biało-Czerwoni rozpoczną 10 czerwca, a więc w najbliższą środę. Na „dzień dobry" zmierzymy się z Kubą, a potem czekają już Słowenia, Japonia i Ukraina.

Tegoroczny finał LN odbędzie się w dniach 29 lipca - 2 sierpnia - podobnie jak w ubiegłym roku - w hali „Beilun Gymnasium" w chińskim Ningbo.

Przypomnijmy, że w ubiegłym roku, Polacy - po raz drugi w historii - triumfowali w Lidze Narodów.

W pierwszej fazie rozgrywek, zwycięska drużyna otrzymuje nagrodę w wysokości 9500 dolarów, a przegrana - 4250 USD.

Liga Narodów rozkręca się na dobre. Panie po - panowie przed. Do wygrania wielkie pieniądze. Każde zwycięstwo to 9500 dolarów.

Podział premii w turnieju finałowym:

1. miejsce: 1 000 000 USD
2. miejsce: 500 000 USD
3. miejsce: 300 000 USD
4. miejsce: 180 000 USD
5. miejsce: 130 000 USD
6. miejsce: 85 000 USD
7. miejsce: 65 000 USD
8. miejsce: 40 000 USD

Ponadto zawodnicy mogą liczyć na znaczące nagrody indywidualne - wybrani do najlepszej „szóstki" otrzymują po 10 000 dolarów, natomiast MVP może liczyć na wynagrodzenie rzędu 30 000 USD.

Skład reprezentacji Polski siatkarzy na turniej w Linyi:

Rozgrywający: Marcel Bakaj, Jan Filej

Atakujący: Bartosz Gomułka, Alaksei Nasevich

Środkowi: Szymon Jakubiszak, Bartłomiej Lemański, Jakub Majchrzak, Adrian Markiewicz

Przyjmujący: Bartosz Firszt, Michał Gierżot, Aleksander Śliwka, Bartosz Zych

Libero: Jakub Ciunajtis, Maksymilian Granieczny ©℗

eprasa.pl ffca6fe78e

Piłka nożna El Niño może wywołać niebezpieczne burze i zakłócić mundial 2026 w krajach gospodarzy

Mecz otwarcia mistrzostw świata zagrożony

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Mecz otwarcia mistrzostw świata 2026 Meksyk - RPA może zostać zakłócony przez falę upałów wznieconą zjawiskiem El Niño, które ma wywołać niebezpieczne burze w krajach gospodarzy.

El Niño ma spowodować gwałtowne pogorszenie pogody. W rezultacie znacznie wzrosło ryzyko ulewnych deszczy i burz w rejonie miasta Meksyk, gdzie 11 czerwca odbędzie się spotkanie inaugurujące mundial. Meteorolog Alex Duffus ostrzega przed gwałtownym wzrostem wilgotności tropikalnej, czym przyciągnął uwagę ekspertów.

El Niño to zjawisko pogodowe, które występuje, gdy Ocean Spokojny ociepli się o 1,5 stopnia Celsjusza. Wzrost temperatury o dwa stopnie nazywa się super El Niño. W tym roku Narodowa Służba Meteorologiczna USA przewiduje ocieplenie nawet o trzy stopnie Celsjusza. Synoptycy przewidują, że El Niño rozpocznie się między majem a lipcem i potrwa do lutego 2027 roku.

Chociaż mowa o Oceanie Spokojnym, jest to globalne zjawisko pogodowe, którego skutki i konsekwencje można obserwować na całym świecie po prostu ze względu na jego skalę. To jak efekt motyla, tylko wzmocniony.

El Niño nie jest nowym zjawiskiem i występuje mniej więcej co pięć lat. Jednak super El Niño, spodziewane w tym roku, wystąpiło tylko pięć razy w ciągu ostatnich ponad 70 lat. Nie miało to miejsca od 2015 roku. Najpotężniejsze tego typu zjawisko, odnotowane w 1877 roku, doprowadziło do globalnej suszy i późniejszego głodu, który wg różnych szacunków pochłonął nawet 50 mln ofiar na świecie.

Synoptycy podczas mundialu w Stanach Zjednoczonych, Meksyku i Kanadzie przewidują fale upałów w północnej części USA i na wybrzeżu Pacyfiku, podczas gdy na południu będą występować częste i długotrwałe opady deszczu, które z kolei grożą powodziami.

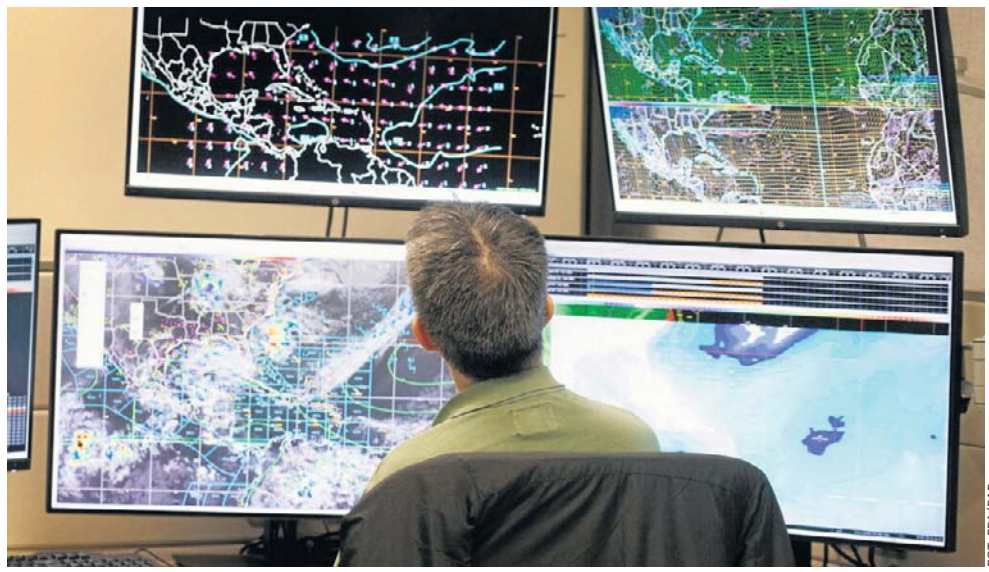
FOT. EPA/PAP

Meteorolodzy biją na alarm: El Nino może poważnie zakłócić mistrzostwa świata

Obawy o pogodę podsycają również wspomnienia zeszłorocznych Klubowych Mistrzostw Świata, kiedy były wielokrotnie przerywane przez ostrzeżenia przed burzami i ulewami. Mecz Benfiki z Auckland City został przerwany na 2,5 godziny - dokładnie 137 minut.

Jest jednak mało prawdopodobne, aby podobne zjawisko powtórzyło się podczas mundialu, a przynajmniej nie regularnie, mimo super El Niño i prognoz ulew na południu USA.

Miami jest miejscem, gdzie występują burze i ulewy - np. debiut Lionela Messiego w Interze Miami w 2023 roku został opóźniony o 2 godziny właśnie z tego powodu. Co więcej, lata w południowej Florydzie są niezwykle upalne i wilgotne. Miami będzie gospodarzem 7 meczów, w tym spotkania o trzecie miejsce.

Zagrożona może być również Atlanta, która leży w pd.-wsch. części USA, gdzie jest gorąco i wilgotno, a prognozy przewidują opady. Podobnie jest w Dallas i Houston, gdzie powstały nowe kryte stadiony z klimatyzacją. Organizatorzy uczynili 3 wymienione areny jednymi z głównych miejsc rozgrywek: Atlanta i Dallas będą gospodarzami odpowiednio 8 i 9 meczów, wliczając półfinały, natomiast Houston - 7 meczów.

Największa impreza sportowa na świecie zagrożona jest więc nie tylko przez kwestie polityczne czy organizacyjne (związane choćby z reprezentacją Iranu, która z powodu konfliktu zbrojnego Iranu z USA wymusiła na FIFA zmianę zakwaterowania na Meksyk), ale przez kaprysy pogody. Los meczu otwarcia zależy teraz od tego, czy żywioły i nowoczesne technologie bezpieczeństwa znajdą równowagę. W przypadku pogorszenia się warunków atmosferycznych organizatorzy mogą zostać zmuszeni do podjęcia środków nadzwyczajnych, w tym do przełożenia meczu.

©℗

Sypnęło niespodziankami w ostatnich sparingach finalistów

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Za nami próby generalne przed zbliżającymi się mistrzostwami świata. Jak finaliści mundialu wypadli w meczach towarzyskich?**

Szczególnie zaimponowali Norwegowie, którzy na początku zeszłego tygodnia w efektownym stylu rozprawili się ze Szwecją (3:1) - pogromcą Polski w finale baraży o mundial 2026. Skandynawowie zaraz po tym zwycięstwie, ucharakteryzowani na wikingów, wyruszyli na swój pierwszy od 28 lat mundial.

Sparingów na swoją korzyść nie rozstrzygnęły natomiast reprezentacje typowane do końcowego triumfu. Z Hiszpanią zremisował wracający na mundial po 40 latach Irak, w którego składzie znaleźli się piłkarze Pogoni Hussein Ali oraz Cracovii Amir Al-Ammari. Francja z kolei sensacyjnie uległa Wybrzeżu Kości Słoniowej. A Algieria pokonała Holandię, z którą Polska mierzyła się w kwalifikacjach.

W weekend kibice ponownie dostali informację, że czołowe zespoły globu jeszcze szukają startowej formy. W Chicago współgospodarze turnieju, Amerykanie, przegrali z Niemcami 1:2. Bramki dla czterokrotnych mistrzów świata, którzy odnieśli dziewiąte zwycięstwo z rzędu, zdobyli Kai Havertz (2.) oraz Leroy Sane (57.), a dla USA trafił Antonee Robinson (37.).

Z powodu kontuzji mięśniowej w mundialu nie wystąpi wschodząca gwiazda niemieckiej piłki Lennart Karl z Bayernu Monachium. Selekcjoner Julian Nagelsmann i prezes Niemieckiej Federacji Piłkarskiej Bernd Neuendorf zapowiedzieli, że w kolejnych meczach reprezentacja zagra „dla Lenny'ego".

W starciu Anglii z Nową Zelandią w Tampie jedyną bramkę zdobył kapitan ekipy „Trzech Lwów" Harry Kane. To jego 79. gol w 113. występie w drużynie narodowej. Tylko dziewięciu piłkarzy w historii zdobyło więcej bramek dla swoich reprezentacji, a wśród nich jest szósty w klasyfikacji wszech czasów Robert Lewandowski - z 89 trafieniami.

Popis dała natomiast Belgia, która rozbiła w Brukseli Tunezję 5:0. „Orły Kartaginy" dostały się do mundialu z bilansem bramkowym 22:0 i 28 punktami zdobytymi na 30 możliwych w swojej grupie eliminacyjnej, ale przeciwko „Czerwonym Diabłom" były bezradne.


FOT. SYLWIA DĄBROWA

Holandia była rywalem Polski w kwalifikacjach MŚ i byłaby na mundialu, gdyby Biało-Czerwoni wygrali baraże...

Nie brakowało negatywnych emocji w spotkaniu Portugalii z Chile w Oeiras pod Lizboną. W doliczonym czasie pierwszej połowy napastnik gospodarzy Rafael Leao wdał się w sprzeczkę z obrońcą rywali Ivanem Romanem. Doszło do rękoczynów, a sędzia usunął obu piłkarzy z boiska. Portugalia ostatecznie wygrała ostatni sprawdzian przed wylotem na MŚ 2026 2:1. Dla podopiecznych Roberto Martineza trafiali Goncalo Guedes i Bruno Fernandes. Cristiano Ronaldo wybiegł w podstawowym składzie i zagrał do końca pierwszej połowy. Honorowego gola dla Chile, które nie zakwalifikowało się na MŚ, zdobył Cepeda.

Przed ekipą z Półwyspu Iberyjskiego jeszcze ostatni sparing - już na miejscu - z Nigerią. Portugalczycy zmagania w grupie rozpoczną od meczu z DR Konga. Później zmierzą się z Uzbekistanem, a na końcu w hicie z Kolumbią.

W nocy z soboty na niedzielę formę testowali dwaj giganci. Brazylia pokonała Egipt 2:1, a bohaterem drużyny Carlo Ancelottiego został 19-letni Endrick, wypożyczony z Realu Madryt do Olympique Lyon. W spotkaniu nie wystąpił Neymar, który zmaga się z problemami zdrowotnymi i walczy z czasem przed mundialem. Canarinhos na turnieju zmierzą się w grupie z Haiti, Szkocją i Marokiem.

Na ławce Argentyny całe spotkanie z Hondurasem przesiedział odpoczywający po sezonie MLS Lionel Messi. W składzie rywali do 81. minuty grał świeżo wykupiony przez Lecha Poznań za 4 miliony euro Luis Palma ze szkockiego Celtiku.

Albicelestes wygrali 2:0 po golach Lautaro Martineza i Giuliano Simeone. Przed obrońcami tytułu jeszcze jedno spotkanie kontrolne z Islandią, które rozegrają dzień przed zaplanowanym na czwartek meczem otwarcia Meksyk - RPA.

MECZE TOWARZYSKIE

poniedziałek, 1 czerwca
Norwegia * - Szwecja * 3:1
Turcja * - Macedonia Północna 4:0
Austria * - Tunezja * 1:0
wtorek, 2 czerwca
Kolumbia * - Kostaryka 3:1
Kanada * - Uzbekistan * 2:0
Chorwacja * - Belgia * 0:2
Maroko * - Madagaskar 4:0
Walia - Ghana * 1:1
środa, 3 czerwca
Haiti * - Nowa Zelandia * 4:0
Dania - DR Konga * 0:0
Holandia * - Algieria 0:1
czwartek, 4 czerwca
Korea Południowa * - Salwador 1:0
Szwecja * - Grecja 2:2
Hiszpania * - Irak * 1:1
Francja * - Wybrzeże Kości Słoniowej * 1:2
piątek, 5 czerwca
Czechy * - Gwatemala 3:1
Meksyk * - Serbia 5:1
sobota, 6 czerwca
Haiti * - Peru 1:2
Belgia * - Tunezja * 5:0
Portugalia * - Chile 2:1
Stany Zjednoczone * - Niemcy * 1:2
Szwajcaria * - Australia * 1:1
Boliwia - Szkocja * 0:4
Anglia * - Nowa Zelandia * 1:0
Jamajka - RPA * 0:1
niedziela, 7 czerwca
Brazylia * - Egipt * 2:1
Wenezuela - Turcja * 1:2
Argentyna * - Honduras 2:0

©℗

eprasa.pl ffca6fe78e

Lech idzie na rekord, Legia szuka okazji. A inni?

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Piłkarze klubów PKO BP Ekstraklasy przebywają na urlopach. Tymczasem działacze pracują na pełnych obrotach, negocjując transfery. Mistrz Polski, czyli Lech Poznań, wydał już rekordową kwotę.

Za dwa tygodnie wszystkie drużyny rozpoczną przygotowania do nowego sezonu. Lech Poznań chce jak najszybciej skompletować kadrę. Trudno się temu dziwić, bo w lipcu nie tylko zagra o Superpuchar Polski i zainauguruje ekstraklasę, ale jeszcze rozpocznie szturm na Ligę Mistrzów.

Prezesi Karol Klimczak i Piotr Rutkowski postanowili nie szczędzić na transfery. Gdy Celtic Glasgow poinformował, że nie zejdzie z ceny za Luisa Palmę, aktywowano klauzulę odstępnego wpisaną w umowę wypożyczenia. Tym samym reprezentant Hondurasu został sprowadzony na stałe za 4 mln euro. To najdroższy zakup „Kolejorza" w historii i drugi najdroższy w całej lidze. Piłkarz o wszystkim dowiedział się w Teksasie, bo właśnie tam jego reprezentacja przygotowywała się do hitowego meczu towarzyskiego z Argentyną.

Z medialnych przecieków wynika, że Lech w letnim okienku planuje wydać tyle, ile nigdy dotąd - nawet 10 mln euro. Chce wzmocnić kilka pozycji. Wytypował choćby kilku kandydatów na środek pola, na pozycję sześć lub osiem. Bardzo chce do niego dołączyć reprezentant Słowenii Tamar Svetlin, za którego Korona Kielce oczekuje ponoć aż 3 mln. Połowę mniej wynosi klauzula odstępnego wpisana w kontrakt Niklasa Dorscha ze spadkowicza z Bundesligi, 1. FC Heidenheim. Według Mateusza Borka właśnie ten były reprezentant Niemiec jest dziś mocno brany pod uwagę przy Bułgarskiej.

Legia Warszawa na takie wydatki nie może sobie pozwolić. Po sezonie naznaczonym klęskami, zwłaszcza na krajowym podwórku, zaciska pasa, szukając na rynku okazji. Takie znalazła już u rywali i na zapleczu. Jej najnowszym nabytkiem okazał się... absolwent akademii Legii Łukasz Zjawiński - bo o nim mowa. Przybył po udanym pobycie w pierwszoligowej Polonii Warszawa, która przegrała baraże o udział w PKO BP Ekstraklasie, w barwach której został wicekrólem strzelców Betclic 1 Ligi.



FOT. ADAM JASTRZEBOWSKI/"GŁOS WIELKOPOLSKI"

Reprezentant Hondurasu został sprowadzony na stałe do Lecha za 4 miliony euro

Teraz na celowniku Legii znalazł się inny były gracz „Wojskowych", Bartosz Bereszyński. Doświadczony reprezentant Polski po dekadzie może wrócić na Łazienkowską, o ile w przededniu 34. urodzin postanowi wrócić z Włoch, gdzie dopiero co przegrał walkę o Serie A z Palermo.

W Pogoni Szczecin też nie będzie wielkich szaleństw. Kadrę raczej da się utrzymać, tym bardziej że prezes „Portowców" Alex Haditaghi planuje odrzucać nawet atrakcyjne oferty. Z przyczyn politycznych Kanadyjczyk irańskiego pochodzenia stanowczo odrzucił zapytania izraelskiego Maccabi Tel Awiw w sprawie obrońców drużyny: Leo Borgesa i Dimitriosa Keramitsisa. „Pieniądze muszą ustąpić miejsca sumieniu"- napisał Haditaghi w mediach społecznościowych.

Co słychać w innych klubach? GKS Katowice skorzystał z kolejnej okazji i wyciągnął z rewelacji 1. ligi, czyli Chrobrego Głogów, Szymona Bartlewicza. Z kadry Korony ubyli Władimir Nikołow i Wiktor Popow. Natomiast Widzew Łódź nie przestaje walczyć o Afimico Pululu. Były snajper Jagiellonii Białystok jest rozchwytywany. Trzeba mu zaoferować topową pensję i wysoką premię za sam podpis, interesuje się nim bowiem m.in. belgijskie Cercle Brugge.

We Wieczystej Kraków, sensacyjnym beniaminku, na razie cisza. Działaczom sen z powiek spędza kwestia wyboru stadionu na domowe mecze. Prawdopodobnie będzie to ten przy Reymonta, ale już bez pomocy pracowników Wisły, jak to było w barażach. - Sami mamy za dużo na głowie - przekonuje prezes Białej Gwiazdy Jarosław Królewski, który odmówił gry reprezentacji Ukrainy na stadionie przy ul. Reymonta.

Zwycięzcy XXVI Pucharu Tymbark wyłonieni. „Lewy" i Urban wręczyli nagrody

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **XXVI edycja Pucharu Tymbark dobiegła końca. 3 czerwca przed meczem Polska - Nigeria na PGE Narodowym poznaliśmy zwycięzców największego turnieju dziecięcego w Europie.**

W dniach 1-2 czerwca 64 najlepsze drużyny z 16 województw dziewcząt i chłopców w kategoriach wiekowych U-10 i U-12 rywalizowały na Stadionie Hutnika w Warszawie o spełnienie marzeń i grę na płycie głównej stadionu PGE Narodowy. Przed spotkaniem towarzyskim Polska - Nigeria 8 najlepszych zespołów zagrało na murawie PGE Narodowego o zwycięstwo w XXVI edycji Pucharu Tymbark.

Zwycięzcami finałów Ogólnopolskich Pucharu Tymbark zostały drużyny SP Piotrowice (U-10 dziewcząt), SP Kowale (U-10 chłopców), SP 48 UKS Zaspa Gdańsk (U-12 dziewcząt) oraz SMS Stal Rzeszów (U-12 chłopców). Aż w trzech meczach zwycięzców wyłoniły serie rzutów karnych.

W finale kategorii U-10 dziewcząt pomiędzy Brdą Szkołą Rytel a SP Piotrowice po bezbramkowym remisie w serii „jedenastek" skuteczniejsze okazały się piłkarki z Piotrowic. - Jeszcze przed turniejem naszym celem było poprawienie wyniku z ubiegłego roku i awans do najlepszej ósemki. Ten plan zrealizowaliśmy już pierwszego dnia, a później - jak to często bywa - apetyt rósł w miarę jedzenia. Dziewczynki pokazały ogromne zaangażowanie i krok po kroku dotarły aż do finału. Sam występ na tak wspaniałym stadionie był dla nich nagrodą, a zwycięstwo to coś, co trudno opisać słowami. - skomentował sukces swojej drużyny trener SP Piotrowice Kamil Wykręt.

O triumfie w kategorii U-10 chłopców również zdecydowały rzuty karne, w których celniej strzelali reprezentanci województwa pomorskiego - SP Kowale i to oni sięgnęli po puchar.

Seria „jedenastek" rozstrzygnęła także ostatni mecz wielkiego Finału w kategorii U-12 chłopców pomiędzy zespołami z Warszawy i Rzeszowa. Po remisie 1:1 w regulaminowym czasie gry rzuty karne lepiej wykonali reprezentanci SMS Stali Rzeszów i to oni zdobyli wymarzone trofeum. - Kiedy spojrzymy na ostatnie cztery lata, widać, że to efekt naszej konsekwentnej pracy. To dla nas ogromny sukces i potwierdzenie, że idziemy we właściwym kierunku. Sam awans do finału, a tym bardziej końcowy triumf, jest najlepszym dowodem na to, że ten wysiłek przynosi efekty. A jeśli chodzi o PGE Narodowy, to myślę, że jest to dom wszystkich Polaków. Dlatego, mimo że nie jesteśmy z Warszawy, czuliśmy się tutaj jak u siebie - ocenił trener SMS Stali Rzeszów Marcin Skiba.



FOT. PUCHAR TYMBARK/PZPN

Robert Lewandowski, Jan Urban i Karol Czubak gratulują zwycięzcom Pucharu Tymbark

Jedynym finałem rozstrzygniętym w regulaminowym czasie gry było spotkanie w kategorii U-12 dziewcząt. O wyniku zdecydowała bramka Inki Szczepaniak, która zapewniła triumf drużynie SP 48 UKS Zaspa Gdańsk. - To dla nas niesamowite przeżycie, zwłaszcza że po raz trzeci z rzędu awansowaliśmy do Finału Ogólnopolskiego i tym razem udało nam się je wygrać. W naszej drużynie są dziewczynki, które grają tutaj już trzeci raz, a wiele z nich swoją przygodę z piłką rozpoczęło dzięki programowi Playmakers, który stanowi podstawę naszej grupy. Po finale powiedziałem zawodniczkom, że są cudowne i że cieszę się, iż mogłem pomóc im spełnić ich marzenia - powiedział trener SP 48 UKS Zaspa Gdańsk Adam Dembiński.

Zdobywców Pucharu Tymbark uhonorowali między innymi selekcjoner Jan Urban, kapitan reprezentacji Polski Robert Lewandowski, Karol Czubak oraz Tomasz Kędziora. - Puchar Tymbark to coś znacznie więcej niż turniej piłkarski - to pierwsze wielkie emocje, radość z gry i chwile, które zostają w pamięci na całe życie. To także moment, w którym rodzą się poważne piłkarskie marzenia - mówił Urban.

Sponsorem generalnym rozgrywek jest marka Tymbark. XXVI edycja Pucharu Tymbark jest współfinansowana przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. Finał Ogólnopolski turnieju odbywa się pod Patronatem Honorowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Karola Nawrockiego. W skład Komitetu Honorowego XXVI edycji Pucharu Tymbark wchodzą Minister Sportu i Turystyki, Minister Edukacji oraz Minister Zdrowia. ©℗

eprasa.pl ffca6fe78e

Polska
Dla kibiców. I nie tylko

MAGAZYN SPORTOWY 24

Polka napisała w Paryżu piękną historię. Zaczęła już w kwalifikacjach, ale przebiła się aż do finału i została wicemistrzynią Rolanda Garrosa STR. 19

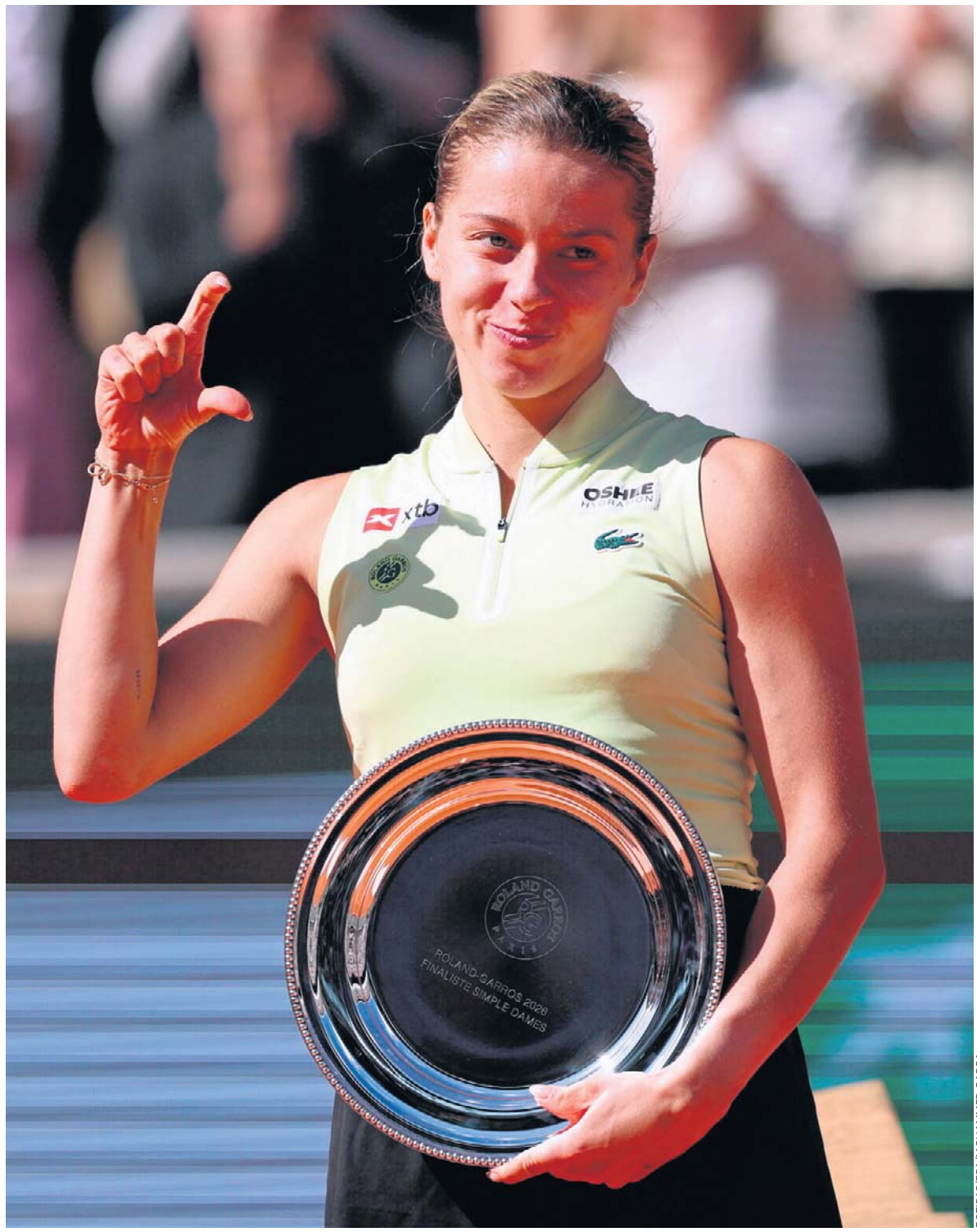

FOT. PAP/EPA/MOHAMMED BADRA

To była wielka gra niesamowitej Mai

Bartosz Zmarzlik na podium w Anglii, ale stracił prowadzenie w cyklu SGP STR. 21

PKO Ekstraklasa. Lech idzie po rekord, Legia czyha na okazje na rynku transferowym STR. 23

W czwartek zaczyna się mundial. Finaliści rozgrywali ostatnie mecze sparingowe STR. 22

eprasa.pl ffca6fe78e